





ALEKSY RZEWSKI

ZA WOLNOŚĆ
i LUD



DAR
W.P. *Murawski*
Rzeczka (Suton)
Dla Biblioteki Publicznej
w Łodzi

14/12/20
5032
793757/64

ALEKSY RZEWSKI.

Za wolność i lud

Wspomnienia.

(Tom drugi).



WARSZAWA, 1920.

Biblioteka Publiczna
Jaktor
26 V 1920.

M.B.
im.
L. W.

W
CINIOM POLEGŁYCH W WALCE
Z NAJAZDEM PRACĘ TĘ
POŚWIĘCAM.

Odbito w drukarni „Robotnika“ Warecka 7.

PRZEDMOWA.

Coraz bardziej w przeszłość zapada ostatnia karta walki o niepodległość. Wśród dnia wolnego dziś bledną i znikają ze świadomości majaki upiorne nocy niewoli.

Coraz bardziej w przeszłość zapada ostatni, zwycięstwem uwieńczony czyn tych, którzy ponad powszechnym upadkiem ducha, ponad leniwem naginaniem karku pod jarzmo i panującym bezwładem zdołali wysoko wznieść sztandar wolności.

Historja stają się już pełne treści wypadki dnia wczorajszego, historja, bliską serca proletariatu, bo twórcą jej był robotnik polski, poczuciem krzywdy społecznej i narodowej oderwany od warsztatu pracy i rzucony w wir nierównej walki z przemocą. Tradycją żywą proletariatu, tradycją tworzącą staje się bohaterski czyn orężny bojowca i praca mozolna w mrokach konspiracji nad wyzwaniem siły, zdolnej pannać życie naprzód ku lepszym, doskonalszym formom bytu społecznego.

Na tle tej historii prostują się i olbrzymieją szare, niemal bezimiennie dotychczas, postacie, na tle tej historii silniej, plastyczniej rysuje się ideologia walczącej o lepszą przyszłość Polski pracy, plastyczniej rysuje się szkoła życia politycznego, przeciwstawiająca się okrawaniom dusz na miarę uległego niewolnika, kształcąca typ obywatela, zdolnego do walki i pracy nad odbudową Polski.

Ta tradycja proletariatu bogata i barwna, znaczone krwawymi plamami na szarym tle życia polskiego po powstaniu 63 roku, szukać musi wyrazu w sztuce, literaturze.

Gdy znikły okowy cenzury, coraz pełniejsze znajduje odbicie w literaturze walka proletariatu o niepodległą Polskę ludową. Nowele i szkice, zawierające epizody tej walki, skreślone ręką bezpośrednich świadków, uczestników, coraz obficie pojawiają się na łamach pism i półkach księgarskich.

Jednym z wybitniejszych przedstawicieli tej nowej literatury jest Aleksy Rzewski, znany szerokiemu ogółowi zarówno z dawnej jak i obecnej działalności.

Aleksy Rzewski, należąc od lat młodzieńczych do P. P. S., poznał życia polskiego głąb, kryjącą się pod jego powierzchnią „suchą i plugawą”.

Talent narracyjny, zdolności obserwowania — pozwoliły mu trafnie i żywo zobrazować to, co sam przeżył i odczuł. A że przeżycia autora wiążą się z najciekawszą kartą życia polskiego — stąd jego szkice literackie budzić muszą szczerze zaciekawienie w umyśle czytelnika.

Niema w jego twórczości bajnej fantazji, zmyślenia poetyckiego, ani kunsztu artystycznej formy, bo życie autora upływało nie wśród spokojnych, systematycznych studjów, ale w ciężkiej pracy, w walce zażartej, pochłaniającej wszystkie zasoby energii intelektualnej.

Jest zato w tej twórczości szczerść, bezpośredniość wrażeń, a przede wszystkim ogromne ukochanie idei, której autor poświęca całe swe życie.

Teofil Wojeński.

Łódź.

2 lat „górnjej i chmurnej” przeszłości.

Od 12-go roku pracowałem już w jednej z przedalnic łódzkich i na własnej skórze poznałem dolegliwości ustroju kapitalistycznego, a więc: niska płaca, 12-sto godzinny dzień roboczy, praca ponad siły, niedostatek w domu, ciasne mieszkanie, w którym musiało się pomieścić osiem osób, słowem, życie zwykle proletariusza łódzkiego, wytwarzającego miliony dla krezesów bawelnianych.

W 15-ym roku życia (w 19⁰ r.) otrzymałem pod wielkim sekretem od jednego znajomego numer nielegalnego pisma krakowskiego „Polaka”. Ostry i antyrządowy ton pisma przypadł mi do gustu i po półrocznym nowicjacie, w ciągu którego byłem pod obserwacją dziesiętnika, zostałem wciągnięty do organizacji „Ligi oświaty narodowej”.

Pewnego wieczora zostałem zaprowadzony do mieszkania, gdzie znalazłem już kilku nowicjuszków. Na stole stał krucyfiks z dwiema jarzącymi się świecami. „Setnik” (p. Tyszko) odebrał od nas uroczystą przysięgę „na posłuszeństwo” i „na krwawy odwet moskałom”. Po krótkiej przemowie o zadaniach organizacji skończyła się uroczystość, która ze względu na mój wiek i warunki wywarła na mnie nadzwyczaj silne wrażenie.

Staralem się być gorliwym członkiem; otrzymywane pisma krakowskie, znaczki i broszury oddawałem następnemu członkowi kółka, składki płaciłem regularnie „na broń” lub

na „skarby narodowy“, czekając z utęsknieniem sygnału do walki i krwawej rozprawy z wrogiem.

Tymczasem organizacja rosła, rozszerzała swoje wpływy, w fabryce powstawały coraz to nowe dziesiątki.

Najniższą formą organizacyjną była dziesiątka z dziesiątnikiem na czele, następnie na czele dziesięciu „dziesiątników“ stał „setnik“, na czele dziesięciu „setników“ — „tysiącznik“ a na czele kilku „tysiączników“ — zakonspirowana grupka, od której zależała cała działalność i kierunek organizacji.

1904.
Rok 1914, rok porażki caratu na dalekich polach Mandżurji, obudził nowe nadzieje i pragnienia, tymczasem organizacja „Ligi narodowej“ wciąż czekała, zbierała składki na „skarby narodowy“ kolportując gorliwie „Litanje“ krakowskie, obrazki i pisma o treści klerykałno-narodowej. A tu socjaliści zaczęli się ruszać po fabrykach, osiągając przez strajki realne korzyści, które poglądowo więcej skutkowały, aniżeli wszystkie razem obrazki i znaczki krakowskie, wskazując jednocześnie robotnikom, kto jest ich rządnikiem i obrońcą. Co pewien czas ukazywał się nieśmiertelny „Robotnik“ i „Kurjerek Zakordonowy i Zagraniczny“.

Rozrost ruchu socjalistycznego nie na żarty przestraszył zakapturzonych kierowników „Ligi Narodowej“, i odtąd coraz częściej na zebrania „dziesiątek“ przybywały nastrojowe panienki, opowiadające duby smalone o potworach socjalistycznych i ich herezji. Bardzo często dochodziło do dyskusji, co wywołało niezadowolenie kuratorów kółek.

Pierwsza broszura socjalistyczna, jaka dostała się do moich rąk, była: „O czem każdy robotnik wiedzieć powinien. Świetny i przystępny styl, „murowane“ argumenty zwróciły moją uwagę i odtąd zacząłem na dobre studjować literaturę socjalistyczną.

Socjaliści w fabryce nawet u członków „Ligi narodowej“ mieli opinię „kutyk na cztery nogi“. Każdy z nich cięta

krytyką wprowadzał zwąglone i niewiarę członków w stosunku do „setników“ i „tysiączników“, zbierających na „skarby narodowy“. „Bujda i błaga, bracie!“ — odpowiadali zawsze stereotypowo na propozycję kupna obrazków i t. p.

Jako głęboko religijny, podczas spowiedzi zeznałem księdzu o moim przekonaniowym i duchowym rozdźwięku. Ks. R. wymógł odemnie pod przysięgą, że nie będę brał tego „paszkiudztwa“, t. j. literatury socjalistycznej, do ręki.

Przyrzeczenie powyższe sprawiło, że czas pewien unikałem zetknięcia z socjalistami, bojąc się narazić na grzech śmiertelny.

Lecz ciekawość i żądza wiedzy przemogła wszystko. Systematyczne samokształcenie sprawiło, że głos własnego sumienia stał się dla mnie czynnikiem rozstrzygającym.

V kilka tygodni później przybyłem na pierwsze zebranie kółka fabryczne P. P. S., gdzie tow. „Wicek“ w ogniu krzyżowych zapytań miał ze mną trudną przeprowadkę. Chciałem, ażeby wszystkie wątpliwości i zarzuty były wytłumaczone i sprostowane. Tow. Wicek śpiewnym litewskim akcentem odpowiadał cierpliwie na zapytania, dotyczące programu i dążeń P. P. S., dopóki trafna i szczerza argumentacja nie rozchwiała reszty moich wątpliwości.

Wojna z kiepskim skutkiem dla caratu trwała dalej, a organizacja miejscowa P. P. S. przyspasabiła się do czekających ją wkrótce zadań.

Pierwszą manifestację, jako protest przeciw brance, zorganizowaliśmy na ul. Zarzewskiej. Przygotowaniem zajął się okregowiec tow. „Stanisław“. (Arciszewski).

Na hektografie odbito 500 odezw, nawołujących do protestu „przeciw wysyłaniu na rzeź w obronie caratu“. Po zwinięciu sztandar, wokół którego zgrupowało się natychmiast kilkudziesięciu towarzyszy. W pierwszych szeregach kroczyli towarzysze, uzbrojeni w rewolwery i sztylety.

Po chwili zgromadził się tłum, złożony z 2.000 osób. Dwaj stójkowi, którzy zniemacka stanęli przed tłumem, na klęczkach prosili o „pomilowanie się”; rozbrojono ich i puszczono wolno.

Na Fabrycznej doszło do starcia z kozakami. Przywitano ich strzałami. Dwóch spadło z koni, a pozostałych czterech ratowało się ucieczką.

Manifestacja wywarła w mieście nadzwyczaj silne wrażenie i przyczyniła się do napływu masowego członków w szeregi naszej organizacji.

W miesiąc później planowano urządzenie manifestacji z Nowego Rynku, „ażeby zadokumentować gotowość do walki z caratem“.

O oznaczonej godzinie wojsko, policja i szpicle rozpraszali gromadzącą się publiczność, aresztując na chybił trafił.

W momencie najkrytyczniejszym w sam środek policji carskiej wychodzi tow. Książczyk ze sztandarem i okrzykiem: „Do szeregu, towarzysze!“ Momentalnie zgrupowało się kilkudziesięciu ludzi, komisarz Szatilowicz zabija chorążego wystrzałem z rewolweru. Na placu, dzierżąc sztandar w zwyciężonej dłoni, legł tow. Książczyk. Rzucony pocisk łańcuszkowy przez tow. Bułala w sam środek policji eksploduje, rozpoczyna się katowanie publiczności, policjanci z wydobytymi szablami ruszają na tłum, który po kilku minutach się rozprasza.

W miesiąc później komisarz Szatilowicz zginął od bomby, rzuconej przez jednego z towarzyszy przy ul. Długiej, który również i sam poniósł śmierć przy zamachu.

Towarzysz ten, szewc z zawodu, w ciągu trzech tygodni nosił pocisk na Szatilowicza, czekając sposobności do zemsty za Książczyka.

Odtąd P. P. S. zaczyna być w Łodzi siłą, przed którą drżą siepacze carscy.

Prawie co tydzień powstają koła organizacyjne, ukazują się częściej odezwy, oświetlające chwilę i żądania proletariatu polskiego.

W tymże czasie wstąpiłem do organizacji spiskowo-bojowej. Pociągała mnie żądza niebezpieczeństw i silne pragnienie walki z najeźdźcami.

Rok 1905, strajk powszechny został już organizację łódzką przygotowaną.

Podczas strajku wydaliśmy odezwę hektografowaną z żądaniami politycznymi i ekonomicznymi. Policja, widząc masowy wybuch, potraciła głowy, zachowując się początkowo zupełnie biernie wobec strajkujących.

Ogłoszenie manifestu październikowego przy jęto było, jak należy, jako podstęp chwiejącego się rządu carskiego, który usiłował uspić czujność proletariatu.

Korzystając ze sposobności, zwołaliśmy olbrzymi wiec Polskiej Partji Socjalistycznej, reklamując go w całym mieście afiszami, do teatru „Victorja“ przy ulicy Piotrkowskiej.

Tłum momentalnie zapelniał teatr i podwórze. Wewnątrz teatru w ciągu 2-ch godzin przemawiała tow. Goldc.

Z balkonu przemawiałem (po raz pierwszy) do tłumy ja i tow. Kazimierz.

Tłum entuzjastycznie przyjmował hasła Konstytuanty w Warszawie.

Za rezolucją esdecką podniosło się zaledwie kilka rąk.

Odtąd w ciągu tygodnia rozwiecowała się Łódź na dobre: w olbrzymich salach fabrycznych odbywały się masówki, a na ulicach prowizoryczne wiece.

Lecz krótko trwały piękne dni.

W trzy dni po ogłoszeniu manifestu strzelano do tłumy, co jeszcze bardziej podrażniło rozkolysane masy.

Ze wszystkich fabryk zwracano się do organizacji po prelegentów i bibułę.

W przeciągu 2 miesięcy organizacja nasza liczyła kilkanaście tysięcy członków.

W dzielnicy „Prawej“ w krótkim czasie zorganizowałem około 50 kół fabrycznych.

Każda fabryka posiadała własny sztandar, komitet, organizację zawodową i własną bojówkę; ta ostatnia podczas wystąpień strajkowych przynosiła więcej kłopotu, niż pożytku, z tej przyczyny, że w niektórych fabrykach groźbą teroru usiłowano wymusić na fabrykancie ustępstwa, które po pewnym czasie zwykle cofał. Bardzo często zwracano się do organizacji, jeśli kilkodniowy strajk nie pomagał, z żądaniem, ażeby „postraszyć „bronkiem“ burżuazję, to ustąpi“.

Wprowadzało to dezorganizację w pojęciach i haos.

Walka ekonomiczna, drobne ustępstwa, pochłaniały całą uwagę, gdy tymczasem działalność polityczna, rzeczywista walka z caratem, była niedoceniona.

Niektórzy mniemali, że masowymi wystąpieniami obali się znenawidzony carat, gdy tymczasem garnizon łódzki, z wyjątkiem pułku ekaterynburskiego, składał się z czarnoseccuńców, którzy krwawo tłumili każde czynniejsze wystąpienie.

W początkach 1906 roku zostałem wybrany do Ł. K. R-u. W tymże roku wyjechałem na zjazd P. P. S. do Lwowa i wobec nawału pracy agitycyjnej zmuszony byłem do porzucenia pracy w fabryce i zostania funkcjonariuszem partyjnym.

Pierwszą moją placówką były Pabjanice.

Ze zmarłym tow. Ochmanem organizowaliśmy koła partyjne i olbrzymie wiece za miastem, jak również w fabryce Krušzego lub Klindlera, gdzie zbierało się nieraz kilka tysięcy osób.

W Łodzi pracowali wówczas w partji tow.: Kiejstut, Wiesław, Prosper, Kazimierz, Wiktor; towarzyszkami: Wanda, Marja, Hanka.

Tymczasem wypadki łódzkie zbijały się szybko do rozwiązania. Carat, ochłonawszy z przerażenia, wzmocnił policję i sprowadził pułk, który się odznaczył w pogromach białostockich.

Miasto żyło w obawie możliwych wybryków, w fabrykach kuto kosi, spisy i lance, pilnowano dzień i noc domów. Podczas jednego z alarmów około kilkunastu tysięcy robotników, uzbrojonych w siekiery i kosi, dowiodło, że do wykroczeń czasonocnych nie dopuści. Gotowość taka odebrała ochotę ochraniać do wszczęcia pogromowych usiłowań.

Podczas jednego ze strajków do zbierających się robotników dano salwę, skutkiem której został zabity tow. Grabczyński z fabryki Grohmana.

Morderstwo to wywołało ogólne poruszenie w mieście, Olbrzymia jadalnia fabryczna, gdzie złożono zwłoki tow. G. (socjal-dem.), została udekorowana żałobnie. W ciągu 2-ech dni odbywały się nieustannie wiece, następnie pogrzeb, w którym brało udział zgórą 100.000 osób z czerwonymi sztandarami, ze śpiewem; olbrzymie masy przeciągały przez ulice miasta na cmentarz ewangelicko-reformowany, gdzie przemawiano w imieniu wszystkich stronnictw, wzywając do walki z caratem i burżuazją.

Ja przemawiałem w imieniu P. P. S.

Odtąd manifestacje odbywały się prawie codziennie. Towarzysze nasi udawali się nawet na odpusty, gdzie wyzywając masowy napływ tłumów, głosili hasła socjalizmu.

Na jednym z takich odpustów, w Łagiewnikach, pociągnięto tłum, liczący około 15.000 osób, i zamiast z pieśniami odpustowymi, ruszono ze sztandarami z powrotem do Łodzi.

Przestrzeń dwumilową, ku zdumieniu okolicznych włościan, którzy po raz pierwszy zapewne widzieli podobny pochód odpustowy, przebyto z 8-miu sztandarami, ze śpiewem „Czerwonego“, „Warszawianki“, „Na barykady“.

Na ulicy Łagiewnickiej doszło do starcia z wojskiem, dano salwę do tłumy, zostało zabitych czterech. Ażeby uniknąć ponownych manifestacji pogrzebowych, policja usunęła zwłoki do szpitala Poznańskich, gdzie w nocy cichaczem pochowano je na cmentarzu żydowskim i katolickim.

Tłum pociągnął przed szpital, domagając się wydania zwłok (do tłumu przemawiali wtedy tow.: Witold i Kazimierz).

Po otrzymaniu wyjaśnienia od zarządu szpitala, że zwłoki zostały zebrane, tłum z kilkunastu sztandarami w olbrzymim pochodzie demonstracyjnym około 100.000 osób pociągnął na ul. Piotrkowską.

Na rogu ulicy Karola i Piotrkowskiej dragoni urządzili zasadzkę, dając zniechęcającą salwę do tłumu. Powstał szalony popłoch, rzucono się do ucieczki. Na placu zostało około stu kilkudziesięciu rannych i zabitych; szczególnie stos ciał piętrzył się przy domu w parku „Paradyż”. Po chwili kordon wojskowy ogrodził miejsce wypadku, naigrawając się głośno z ofiar.

Wypadki te wywołały ponure wrażenie w całym mieście. Nazajutrz na znak protestu wybuchły większe zaburzenia i walka barykadowa rozgorzała w całej pełni.

Najwięcej ucierpiała dzielnica staromiejska, gdzie wywłoczono z mieszkań, rabowano i niszczone urzędnicy, a mieszkańców dobijano bagnietami. W dzielnicy tej żoldactwo dawało ujście swoim dzikim popędom.

Odtąd zaczyna się w Łodzi okres reakcji, lecz organizacja jest jeszcze dość silna, przeciwstawiając się skutecznie zakusom caratu.

Pomimo strasznych ofiar, jakie ponosił proletarijat łódzki, nie było wypadku, ażeby na wezwanie organizacji P. P. S., wzywającej do porzucenia pracy, strajk lub wystąpienie masowe się nie udało.

P. P. S. miała wyłączny posłuch i walor w szeregach robotniczych Łodzi.

W r. 1906 podczas żniw P. P. S. rozpoczęła szeroką akcję wśród proletariatu wiejskiego o polepszenie warunków bytu służby folwarcznej.

Za skonfiskowane przez naszą bojówkę w Wysokim Mazowieckim pieniądze carskie urządzono w każdym mieście

szkoły agitatorskie, które obznajmiały towarzyszy z warunkami życia wiejskiego i potrzebami służby folwarcznej.

W Łodzi na czele szkoły wiejskiej stał tow. Gieniek i Jerzy. Słuchaczy było około 60-ciu.

Kraj podzielono na powiatowe jednostki organizacyjne; na czele każdego powiatu stał powiatowiec, mający szczegółowy wykaz wszystkich folwarków w swoim okręgu.

Robota postępowała różnie naprzód.

Ja zostałem łączącym powiatowcem. Z Ozorkowa, Zgierz i Łodzi przeznaczono do akcji strajkowej 40 towarzyszy, każdy z nich miał wykaz folwarków, do których miał obowiązkowo dotrzeć, mapkę, kompas, latarkę elektryczną i 10 rb. gotówki.

Na wsi tymczasem przygotowywano się godnie na przyjęcie przybyszów miejskich.

Księża z ambon ostrzegali przed „antychrystami” i „nie-dowiarkami”, „którzy ludziom mącą w głowie”.

Właściciele ziemscy organizowali własną milicję konną „narodową”, która miała przed „socjalami” bronić „ładu i porządku”, nie omieszkała od „braci Moskali” wzywać pomocy wojskowej i policyjnej.

Endeckie organizacje robotnicze wysłały również „na ochotnika” sporo ludzi.

Słowem — byli pewni, że dostatecznie się zabezpieczyli przed inwazją socjalistyczną na wsi.

My również nie próżnowaliśmy. Na dwa miesiące przed strajkiem rozrzucaliśmy masę bibuły po wsiach wszędzie, gdzie tylko dotrzeć było można.

Nawiązywaliśmy stosunki organizacyjne, ażeby w razie ataku mieć pewny punkt oparcia, zakładaliśmy komitety folwarczne i powiatowe.

Společnie sprawa ta dla proletariatu wiejskiego miała olbrzymie znaczenie. Wysokie zarobki, jakie robotnicy osiągnęli w mieście, przyczyniły się do prawdziwej wędrówki ma

sowej proletariatu wiejskiego, dla którego zarobki nawet przedstrajkowe, wobec niskich potrzeb, stanowiły raj w porównaniu ze stosunkami folwarcznymi.

Na dobitkę traktowanie robotników rolnych, jak niewolników, przez panów, rządców, ekonomów i poganiaczy dopełniało obrazka naszej wsi „sielskiej i anielskiej”.

Robotnicy rolni wobec zaklinań księdza zachowali się z niedowierzaniem, życząc sobie w duchu raz nareszcie zobaczyć „antychrysta-socjalistę”.

„Jak on wygląda?” — szeptały trwożliwie baby wiejskie, żegnając się nabożnie.

Nareszcie przyszła upragniona chwila; po rozdzieleniu „roboty”, ruszyliśmy uzbrojeni w moc duchową i wiarę, że słuszność i prawda zwycięży, rozproszy mroki niewoli, a „dobra nowina” przeniknie do serc i umysłów proletariuszy wiejskich.

Ja udałem się do Leśmierza, gdzie w miejscowej cukrowni mieliśmy kilku towarzyszy.

Rano, o 4-ej, zebrałem służbę folwarczną, liczącą wraz z cukrownikami kilka setek, wytłumaczyłem im cel mojego przybycia i odczytałem żądania, które zebrani przyjęli z zapałem, i ruszyłem na czele wszystkich do „jasnego pana”.

W zastępstwie przyjął nas praktykant, czy rządca, który wyniośle oznajmił, że „jaśnie pan z chamami w żadne układy nie wchodzi”. „W takim razie zobaczymy — odrzekłem — czy jaśnie pan bez chamów będzie dołł krowy i kosił zboże”. Wybrałem kilku robotników do oporządzenia bydła, zastrzegając, że jeżeli szlagon nie postąpi po trzech dniach — zastosować „strajk ostry” i zostawić bydło pod opieką „jasnego pana”, lokal i rodziny, ażeby spróbowali, jak to praca amakuje.

Jak się dowiedziałem, po 4-ch dniach strajku robotnicy uzyskali podwyżkę i ustępstwa w myśl naszych żądań, otrzy-

nawszy jednocześnie piśmienne zobowiązanie, że dzień 1 maja będzie corocznym świętem, za który wytrącać nie wolno.

Następnie udałem się do Cedrowic, ażeby i tam wezwać robotników do walki o prawa ludzkie i lepszy byt.

Wiadomość o strajku w Leśmierzu doszła, zanim przytyliśmy. Zamiast z „orczykiem”, jak ksiądz kazał, „dworacy” naprzeciw mnie wyszli ze śpiewem „Czerwonego”, co było dla mnie miłą niespodzianką, i oświadczyli, że zgadzają się z „partją socjalistyczną”, przyłączając się do strajku.

Pokrzepiwszy się nieco, ruszyłem w dalszą drogę, ale niestety, wiadomość o mojej bytności została zakomunikowana przez „milicję narodową” naczelnikowi powiatu, który wysłał na drogę do Cedrowic kilkunastu kozunów.

Idąc bocznymi drogami, zostałem jednak zauważony przez patrol, który galopem pomknął w moją stronę. Podarłem szybko odezwy i papiery, jakie posiadałem, czekając z rezygnacją na najgorsze.

Towarzysz mój zaczął uciekać, posypały się strzały, i uleciawszy kilka kroków, runął na ziemię. (Dowiedziałem się potem w szpitalu, że został zdrow i cały, przewrócił się w bruzdę umyślnie, ażeby nie być zabitym; inni twierdzili żartobliwie, że ze strachu).

„A ty chto, swołocz, miatieźnik!” — wrzasnął mi nad głosem kozak i ciał mnie szabłą przez grzbiet, a następnie miazem w głowę. Ogluszony, upadłem na ziemię...

Kiedy powróciłem do przytomności, leżałem na podwozie, oblepiony kurzem, krwią i błotem; wokół towarzyszyli mi w tryumfie kozacy.

„Budut rublowki od pomieszczyka za s... syna” — śmiali się z uciechą.

Do więzienia łęczyckiego przybyli na badanie: naczelnik powiatu, żandarmi i naczelnik straży ziemskiej.

Oświadczyłem, że nie należę do partji, przyjechałem na wieś z własnej woli, ażeby robotnikom rolnym pomóc do uzyskania lepszej płacy.

Wobec tego, na zasadzie prawa o strajkach, dostałem 3 miesiące więzienia.

Naczelnik więzienia, człowiek uczciwy i względny, z pochodzenia ormianin (zginął przypadkowo w Zgierzu podczas napadu na pocztę), robił wszelkie możliwe ułatwienia.

Robotnicy rolni, dowiedziawszy się o moim aresztowaniu, przynosili mi w każdy piątek masło, ser i jaja. Słowem — nie brakowało mi nic, prócz swobody.

Po wypuszczeniu z więzienia wytoczono mi w Łęczycy sprawę, na którą się nie stawilem. Stałem się „nielegalnikiem“.

W powrotnej drodze do Łodzi zatrzymałem się w Ozorkowie, gdzie miałem kilka masówek.

W Łodzi reakcja dawała się coraz silniej we znaki, aresztowania były coraz częstsze, kontrrewolucja podnosiła głowę.

Ażeby uporządkować ruch strajkowy i skierować go w odpowiednie łożysko, organizacja zalegalizowała w r. 1907 Związek robotników przemysłu włóknistego.

Jako tkacz z zawodu, na walnem zebraniu zostałem wybrany do zarządu. Wzięliśmy się z zapalem do pracy i w ciągu kilku miesięcy związek posiadał 30.000 członków w Łodzi, nie licząc kilkunastu oddziałów na prowincji.

Represje, jakie na nas spadały, sprzyjały wzrostowi reakcji. Organizacje „narodowe“, które nie miały żadnych wpływów w okresie napięcia ruchu rewolucyjnego, dochodziły do głosu i znaczenia podczas carskiej reakcji.

Utrata wiary w zwycięstwo rewolucji, ciężki stan ekonomiczny, wzrastanie liczby prowokatorów, rozluźnienie karbów organizacyjnych — wszystko to spowodowało obniżenie wpływu partji socjalistycznych.

Partje reakcyjne, grając na strunach płytkiego patriotyzmu i fanatyzmu religijnego, wyzyskały uczucie rozgoryczenia i ferment, powstający po każdym wielkim upadku ruchu społecznego i politycznego, na swoją korzyść.

Fanatyzm partyjny doprowadzał do usuwania robotników, którzy byli w mniejszości jako grupa polityczna, przez większość, co doprowadzało do zaostrzenia zaciekleści partyjnej. Przy ciemnocie mas i działalności różnych męnych żywiołów wydawało to smutne rezultaty.

Burżuazja, dyrektorzy fabryk, drobnomieszczaństwo popierali bojowców anty-socjalistycznych, używając ich do tłumienia „czerwonego niebezpieczeństwa“.

Walki bratobójcze rozpoczęły się od napadu, wywołanego przez fanatyzm religijny, na marjawickiego księdza, Skolimowskiego.

W obronie tolerancji religijnej stanęli socjaliści, z których kilku zginęło.

Odtąd padały coraz częściej strzały na ulicach Łodzi. Na Bałutach niektóre domki ufortyfikowano, na ul. Rybnej, przed domem Szmulika, urządzono zborny punkt bojówek ondeckich, na dachach ustawiono posterunki obserwacyjne, a ulice przebiegały patrole enzeterowe.

To samo było w domu Bocheńskiego na Drewnowskiej. W szkole rzemiosł przy ul. Wodnej, słynnej twierdzy sokolskiej, podobnie się ufortyfikowano.

Policja carska zacierała ręce, kontenta z pomocników, którzy tak jej godnie sekundowali.

Skalon tępił socjalistów w Warszawie, a endecy w Łodzi. Zabójstwa owe były dorobkiem „kulturalnym“ prasy i odezw narodowo-demokratycznych, wzywających do otwartej wojny domowej, do której zresztą przyznał się na wiecu otwarcie p. Dmowski.

Polska Partja Socjalistyczna od początku wzywała do zaprzestania walk bratobójczych, rozumiejąc, że wojna domo

wa rozbije jedność klasy robotniczej i wyda ją na pastwę wrogów.

Tymczasem odezwy endeckie i esdeckie podsycaly nienawiści fanatyzmu i fanatyzm tłumów.

Jedna z odezwo S. D. K. P. i L. głosiła, że „szpicel na ulicy, a endek w fabryce — to jedno”, dając zachętę moralną do wyrzucania endeków z fabryk.

W odezwie N. Z. R. czytamy:

„Nie możemy pozwolić, by socjaliści баламуčili i prowadzili do zguby nieświadomych lub obalamuconych.

Przeciw zbrodniczej agitacji podżegaczy socjalistycznych należy stanowczo wystąpić, chociażby wypadło gwałt gwałtem odcisnąć... robotnicy narodowi powinni na terror odpowiedzieć terorem.

Chociażby ceną krwi własnej i bratniej wyswobodzić się z tej ohydnej niewoli, w jakiej od dwóch lat trzymają nas socjaliści“.

W Nr. 102 „Gazety Polskiej” z dnia 16-go kwietnia czytamy:

„Kierownicy obozu narodowego nie mogą iść przeciw woli podnieconego i oburzonego na socjalistów ogółu. Byłoby to bezcelowe, ponieważ akcja pojedyncza nie ma żadnych widoków. Tu jedni lub drudzy muszą zwyciężyć i narzucić pokonanym swoją wolę. W Łodzi niema miejsca na sielankę zgodnego współżycia, niema właściwie miejsca na stronnictwa, tam jest walka instyktu narodowego z anarchją rewolucyjną i ta walka, odraczana dotychczas, musi być wreszcie stoczona. W warunkach zaś istniejących niepodobna się ludzi, żeby przybrać mogła inne formy, niż te, w jakich się toczy“. Wypełniając miarę bezczelności, „Gazeta Polska” podaje termin ostatecznej rozprawy.

Stwierdzam, że żadna z odezwo P. P. S. nie wzywała do walk. Na konferencji wszystkich stronnictw na wniosek tow. S. uchwalono: „przyjąć z powrotem do pracy wszystkich

endeków, usuniętych z fabryk przez stronników przeciwnych partii“...; „partje podają sobie ręce i dają słowo, że zaniechają raz na zawsze walk partyjnych i że zobowiążą swych przedstawicieli do niewygaszania w fabrykach mów podburzających“.

Według „Rozwoju“ (pisma łódzkiego N. D.), w czasie walk bratobójczych zabito i raniono 420 osób: socjalistów 340, pozostałi — narodowcy.

Cyfry ten najlepiej świadczą, kto organizował walki bratobójcze.

Pewnego dnia zostałem napadnięty przez nieznanymi mi ludzi i raniony czterema strzałami w nogi bok i rękę. Była to zemsta za ranionego przez esdeków sekretarza „Jedności“.

Po rozłamie, jaki się wytworzył pomiędzy „lewicą” i „prawicą“, zaczęło się wzajemne żarcie i rozbijanie organizacji, stworzonej z takim mozolem i trudem.

Związek zawodowy był jedyną neutralną platformą, która umożliwiała pracę dla klasy pracującej bez różnicy poglądów politycznych i przekonań.

Rozłam spadł zupełnie niespodziewanie w najcięższych czasach dla klasy robotniczej i delegaci zjazdu przybyli już z faktem dokonanym, nie posiadając uprzednio od wyborców dyrektyw katogorycznych w tym kierunku.

Robotnicy przypisywali winę rozłamu „inteligencji“, która zbyt pochopnie i po doktrynersku załatwiła się z „bojówką“, wywołując szkodliwy rozłam.

Po walkach bratobójczych, rozłamie w P. P. S. nastął okres najczarniejszej reakcji.

Fabrykanci cofali poczynione ustępstwa, do dawnych norm przedstrejkowych, oddawali towarzyszy w ręce policji, wylonilo się kilkunastu prowokatorów; Bracia Fremell (byli esdecy), „Warszawiak“, „Kolduński“ (szwagier Fremłów), „Leon“ (piekarz), „Kolejarz“, „Malinowski“ i inni. Prowokatorzy ci urządzali wraz z ochroną masowe oblawy na ro-

botników, wkraczali do fabryk, rozkazując robotnikom stanąć w rzędzie, a następnie wywoływali nazwiska podanych nstępnie przez administrację fabryczną, katując i bijąc wywoływanych w oczach wszystkich.

Do Łodzi przybył „Mesjasz” fabrykantów łódzkich, Kankanów, którego działalność rozpoczęła się od masowych egzekucji i zamknięciem wszystkich pozostałych jeszcze instytucji robotniczych.

Związek zawodowy włóknisty został pewnego wieczoru otoczony przez kordon policji konnej i pieszej, i wówczas towarzysze zostali aresztowani.

Odwieziono nas do więzienia przy ul. Cegielnianej, gdzie po poddaniu nas szczegółowej rewizji rozpoczęło się katorżenie osób, poleconych przez „ochranę”. Prezes Związku, tow. Wodzyński, został skatowany do krwi, inni również, słowem, usiłowania „pracy organicznej” pod caratem skończyły się nadzwyczaj smutnie.

Pieniądze związkowe zostały przez opryszków carskich zabrane i rozdane żandarmom jako gratyfikacja na Nowy Rok „za wiernu służbu”.

W więzieniu robiło się coraz ludniej: „esdecy”, „lewicowcy”, „pepeesowcy”, „bundowcy”, „mściciele” — wszystko to razem tworzyło w celi niezbyt zgraną kompanję.

Każdy nowy gość przybywał z zewnętrzznymi oznakami carskiej pieczolowitości: poraniony, zbity...

Podobne wypadki podsycaly naszą zemstę i każdy z nas sądował sobie, że po powrocie choć jednego „sprzątnię”.

Większość, jak mi wiadomo, wypełniła solennie przyrzeczenie.

Prawie co tydzień były wypadki strzelania do więźniów.

W jednym wypadku kula „rykoszetem” zraniła 6 towarzyszy.

Po trzech miesiącach więzienia przy ul. Cegielnianej wysłano nas do Sieradza, gdzie z powodu przepełnienia gradowały różne choroby.

W Sieradzu umieszczono nas 18-tu w jednej celi. Dzień podzieliliśmy nadzwyczaj pracowicie, z tej przyczyny nie odczuwaliśmy tak bardzo skutków życia więziennego.

Rano o 6-ej wstawaliśmy i porządkowaliśmy cele, do 8-ej pogawędka na temat bieżący, o 8-ej śniadanie, następnie do dziesiątej wykład socjologii przez tow. Komorowskiego, do 12-ej wykład geografji tow. Rutkowskiego, do 1-ej matematyka; tablicę zastępowała cerata, przybita na ścianie.

Po obiedzie pół godziny spacer, od 2-ej do 4-ej ćwiczenia fizyczne, walka francuska, gra w szachy lub warcaby, do 6-ej wspólne czytanki. I tak codziem w kółko mijał dzień po dniu, aż minęło 4 miesiące, w ciągu których wielu towarzyszy skorzystało pod względem umysłowym.

Chcąc przyspieszyć wyjazd na zesłanie, zwrócono się do więźniów, ażeby pomogli kancelarji więziennej wykończyć papiery więzienne.

Dzięki tow. Michałowi sprawa poszła dość rażno; w ciągu kilku dni wykończono papiery i partję, liczącą 300 więźniów, wysłano do Warszawy.

Na zborniaku praskim zastaliśmy brudy niemożliwe, jedzenie jeszcze gorsze, otoczenie podejrzone. Nożowcy, alfonsi, kieszonkowcy, polityczni, wszystko to kleło, na czem świat stoi, od świtu do wieczora, z specjalnem zacięciem warszawskim.

Pomimo, że każdy czuwał nad swoim „majątkiem”, nie było nocy, ażeby którego z więźniów nie okradziono.

Pewnej nocy burkę, pod którą spałem, popruto w kilku miejscach, spodziewając się zaszytych pieniędzy. 4456

Po dwóch tygodniach męki wysłano nas do Moskwy. W okratowanym pociągu, skuci kajdanami w dwójkę, musie-

liśmy w czasie całej jazdy dzielić przymusowe towarzystwo. Poruszenie jednego zniewalało do podobnych ruchów drugiego.

Wydarzały się z tej przyczyny arcyzabawne historie, które rozpraszały smutne myśli.

W Moskwie „Butyrskaja tiumra“ zrobiła na nas przynębiające wrażenie.

Grube mury, stos kajdan w przedsionku więziennym, olbrzymi gmach, w którym pomieścić się mogło 10.000, w tym około 4.000 politycznych katorżników, setki strażników więziennych — wszystko to razem nasuwało wątpliwości w zwycięstwo rewolucji w Rosji.

Hu tu podobnych tobie szaleńców skonało w tym strasnym gmachu — szeptała czarna rzeczywistość.

Od Dekabrystów do katorżników ostatniej rewolucji 1905 — wszyscy ciężko pokutowali za chęć wyzwolenia nieśczęsnego ludu.

Te i tym podobne myśli powstawały mi w głowie, kiedy przechodziłem przez olbrzymie korytarze moskiewskiego więzienia.

Do jednej obszerniejszej celi wpakowano około 200 osób, przedstawiciele kilkunastu narodów Rosji. Rosjanie, Polacy, Żydzi, Łotysze, Ormianie, Osetyńcy, Tatarzy, — wszystko to wytwarzało jakiś jarmarczny gwar i hałas.

Usiłowaliśmy się porozumieć z niektórymi towarzyszami na migi. Z szczególniejszą sympatją do nas, jako do Polaków, odnosili się członkowie ormjańskiej partji „Dasznakentjun“, oświadczając, że są, jak Polacy, podzieleni pomiędzy trzy mocarstwa: Persję, Turcję i Rosję i mają jednakowe z nami cele. Uściskałem ich za to serdecznie.

Wieczorem urządziliśmy wspólny koncert międzynarodowy. Kolejno przedstawiciele każdej narodowości odśpiewali jakiś popularny hymn robotniczy.

Dziko i mściwo brzmiały murzyńskie i ormiańskie pieśni rewolucyjne, twardo i śuropowato łotewski hymn robotni-

czy, smutnie i beznadziejnie rosyjskie pieśni o dalekiej wolności, ponuro i żalśnie żargonowe pieśni żydowskie, a siłą i wiarą dźwięczała nasza „Warszawianka“.

Wrażenie, jakie wyniosłem z tego pamiętnego wieczoru, było nadzwyczaj dodatnie i natchnęło mnie silną wiarą, „że z czasem zwycięży Chrystus Judasza“, jeżeli tyle ludów pała nienawiścią do znienawidzonych rządów carskich.

Rano wyruszyliśmy koleją do Niżniego Nowgorodu, a stamtąd odrutowanym statkiem więziennym po Woldze popłynęliśmy do Samary.

Widok, jaki się przed nami rozciągał, powetował zupełnie trudy podróży.

Brzegi pokryte zielenią, ruch statków, tratw, nawoływanie rybaków — wszystko to składało się na oryginalny obraz.

Wynieśliśmy samowar na pokład i po słonej rybie, która była wyłącznym pożywieniem na statku, popiliśmy „czaju“, ile kto chciał...

Podróż do Samary trwała dwa dni.

W Samarze przebyliśmy tydzień, skąd koleją odwieziono nas do Czelabińska. W Ufie nas przebudzono i oświadczono, że przekraczamy granice Europy i że znajdujemy się na ziemi azjatyckiej.

W Czelabińsku rozdzielono nas na drobne oddziały i w otoczeniu nielicznego zresztą konwoju kozaków, ruszyliśmy pieszo do przeznaczonych wiosek.

Sześć dni trwała moja podróż do kozackiej wioski Woskresenskoje, znajdującej się o 200 wiorst od kolei.

Po przybyciu na miejsce, nikt z miejscowych mieszkańców przyjąć nas nie chciał (było nas czterech) „Czort was znajet, kto wy takije: wory, li razbojniki?“ Zwróciliśmy się z prośbą o interwencję „batiuszki“, który wytlómaczył „starowiczom“, że „politiczeskije, eto wied' mirolubiwyje ludi“. Po takim wstępie rozmieszczono nas wedle uzdolnień. Kra-

wiec i szewc natychmiast otrzymali pracę. Nauczyciel tow. Katoczyński udzielał lekcji „kozaczkom”, a ja zgodziłem się na całą wieś paść cały tabun kozackich koni.

Wpłynęło to bardzo dodatnio na moje sterane zdrowie, nauczyłem się dobrze jeździć konno, polować, zahartowałem się do trudów i niewygód.

Korzystając z jarmarku końskiego, jaki się w ciągu 3 dni odbywał, czmychnąłem do Czelabińska, gdzie znalazłem chwilową gościnę u tow. Michała (Baryki), a stamtąd koleją, za odpowiednim paszportem i zmienwszy powierzchowność na „istotno ruskawo czelowieka”, puściłem się do kraju.

Do Łodzi przybyłem szczęśliwie. W domu matka poznać mnie nie mogła.

Trudno opisać radość i uciechę rodziny, kiedy ujrzano mnie zdrowego po takiej podróży.

Ktoś z mieszkańców domu musiał dać znać do policji, bo na drugą noc odbyto u matki rewizję. Na szczęście nocowałem gdzieindziej, a potem zaopatrzwszy się w trochę gotówki, pojechałem do Kalisza z zamiarem przeszwarcowania się do Niemiec.

Z szwarcownikami przekroczyłem szczęśliwie granicę, skąd udałem się do Manheimu w Badenji, gdzie pracował jeden ze znajomych Polaków. Otrzymałem pracę w fabryce aniliny w Ludwigshafen n. R., gdzie pracowałem półtora roku. Podczas pracy zostałem poparzony kwasem siarczanym.

Odpokutowałem to 3-miesięczną kuracją w klinice, skąd udałem się do Francji, pracowałem w Luneville w fabryce wagonów i samochodów „Dietrich & Co”, a później w Nancy, Longwy, Epinal, Paryżu, skąd po zniesieniu wzmożnionej ochrony w Królestwie wróciłem w 1912 roku do Łodzi.

Łódź, 20 czerwca 1917 r.

Wódz bojowców.

Zywym symbolem Wydziału Bojowego w latach rewolucji był towarzysz „Stanisław” (Arciszewski).

Od 1905 roku przy jego współdziałaniu lub kierownictwie dokonano większości zamachów politycznych w Królestwie Polskim.

Człowiek o nieustraszonej odwadze, hartowanej duszy, mocarnej woli, ofiarny i pracowity, z uporem i wytrwałością kroczy od dzieciństwa po raz obranej drodze w myśl zasad „Przez Niepodległość do Socjalizmu”. Małomówny, w obcowaniu z ludźmi surowy, poważny, skryty i zamknięty w sobie, umie jednak jako prelegent godzinami nieraz przykuwać uwagę słuchaczy wykładami z dziedziny nauk społecznych i politycznych. Słusznego wzrostu, głowa przyprószona przedwczesną siwizną, wzrok przenikliwy, cera twarzy ziemista i blada, jako skutek długoletniego więzienia, które nadwyrężyło mu zdrowie, surowy dla siebie i innych, przy tem wszystkiem niezmiernie dobry i życzny, był ideałem bojownika o wolność.

Dziadek tow. Stanisława, ziemianin z Małopolski walczył w roku 1831 w obleganej przez Moskali Warszawie, a ojciec w 1863 roku. Tow. Arciszewski, jako nieodrodny syn swych przodków, zmagał się z caratem również w ostatniej rewolucji.

Urodzony w 1877 roku w powiecie rawskim, we wsi Sieszechowie, z powodu śmierci ojca już w 11 roku życia poznał dolę i niedolę. W Radomiu terminował rok u stolarza, a na

stępnie 4 lata u ślusarza. Praca trwała od 5-ej rano do 8-ej wieczorem. Po ukończeniu praktyki, jako młodzieniec 17-letni, pozostawiony samemu sobie, pracuje w fabryce Fitzner i Gamper w Zagłębiu Dąbrowskiem. Po raz pierwszy styka się tutaj z działaczami socjalistycznymi i odtąd już staje się jednym z najgorliwszych członków P. P. S. Pod pretekstem urządzania zabaw tanecznych gromadzi robotników, urządza wykłady, rozpowszechnia wydawnictwa socjalistyczne. W hucie Katarzynie organizuje liczne koła partyjne. Działalność ta zwraca uwagę znajdujących się w Zagłębiu prowokatorów żandarmskich. Jeden z nich, nazwiskiem Błach, donosi o nim żandarmerji, która wydaje rozkaz aresztowania go. Ostrzeżony w porę, ucieka wr. 1898 za granicę i udaje się do Londynu. Tow. Arciszewski otrzymuje pracę w jednej z pracowni ślusarskich Londynu. W tymże czasie wychodził w Londynie „Przedświt“, miesięcznik polityczny P. P. S., i kwartalnik popularno - naukowy „Światło“. Ze stowarzyszeń polskich istniał wtedy „Związek Socjalistów Polskich“. Po kilku miesiącach pobytu w Londynie udaje się do Niemiec. Zatrzymuje się w Bremie, gdzie znajduje pracę w akcyjnym Towarzystwie „Weizer“ w charakterze kolarza. Pracuje czynnie w „Stowarzyszeniu Socjalistów Polskich“ i „Bratniej Pomocy“, organizuje wykłady, dzieli się nieraz ostatnim groszem, z przybywającymi do Bremy zbiegami politycznymi. Pracuje w fabryce razem z dzisiejszym prezydentem miasta Kalisza obyw. Michalskim. Z rozporządzenia Centralnego Komitetu P. P. S. udaje się w 1900 roku do kraju. Przybywa wtedy z rozporządzenia Centralnych władz partyjnych do Bremy z instrukcjami i wskazówkami dla tow. Arciszewskiego dzisiejszy minister spraw wewnętrznych Wojciechowski.

W 1900 roku widzimy go pracującego w Zagłębiu na Niwce, gdzie organizuje koła w fabrykach i kopalniach. Zapoznaje się z Montwilem - Mireckim (stracony na stokach Cytadeli w 1907 roku), który uczęszczał wtedy do szkoły sztygarów w Dąbrowie.

Ażeby poruszyć opinię publiczną, wydaje razem z Mireckim kilka tysięcy odezw z wezwaniem do walki o wolność. Zwraca to uwagę żandarmerji, która go aresztuje i odstawia do więzienia piotrkowskiego. Ażeby wydobyć od skrytego i milczącego Arciszewskiego nieco szczegółów z życia partji, żandarmerja osadza go w jednej celi z prowokatorem Dazem z Częstochowy, który jednak nic nie wskórał. Szykanami więziennymi starają się zmusić niezłomnego więźnia do uległości; za małe przewinienia osadzają go dość często w „karczerze“. Wyprowadzony z cierpliwości, rzucił się podczas badania na pułkownika żandarmerji Krzyżanowskiego i spoliczkował go dotkliwie. Sypią się zato nań nowe represje. Z małemi przerwami siedzi w więzieniu 3 i pół roku.

Przetransportowany do więzienia w Kielcach, siedzi razem z Rychlińskim z Łodzi (późniejszym lewicowcem) i Skurzyńskim, dzisiejszym przewodniczącym Związku górników w Jaworznie.

W 1904 roku zostaje wypuszczony na wolność. Więzienie nie tylko nie osłabiło w nim ducha, ale obudziło w nim chęć straszliwej zemsty za swoje i współtowarzyszy krzywdy.

Wszyscy prawie żandarmi, w których rozporządzeniu znajdował się tow. Arciszewski (Stanisław), zginęli w kilka miesięcy potem z rąk bojowców. W Radomiu zastrzelony został pułkownik Plotto, następnie sławny porucznik Bielski w Plocku, naczelnik więzienia w Kielcach, Grecki, za znęcanie się nad więźniami.

Tow. Stanisław dostaje pracę w Zagłębiu, jeździ pokryjomu do Krakowa, przewozi bibułę; organizuje nie tylko ogół robotniczy, ale i chłopów po wsiach okolicznych. Spotyka się w Krakowie z Piłsudskim, otrzymuje od niego polecenia, wskazówki i instrukcje. Władze carskie, widząc, że tow. Arciszewski po długoletnim więzieniu jest niepoprawny, wydają rozkaz aresztowania go i zesłania do Archangielska na lat 3. Na kilka godzin przed przybyciem żandarmów otrzymuje w fabryce ta-

jemniczy list z następującym napisem: „Uciekajcie, bo żandarmi idą was aresztować: skazano was na trzy lata do Archangielska“. Po otrzymaniu tej wiadomości opuszcza w pośpiechu fabrykę. Po chwili do fabryki wkroczyła żandarmerja i policja; przetrząsnęto w ciągu kilku godzin wszystkie skrytki fabryczne, lecz bez skutku. Do ostatniej chwili nie dowiedział się tow. Arciszewski o szlachetnym i nieznanym autorze listu.

W 1904 roku udaje się do Łodzi po „wspach“, dokonanych przez prowokatora Gallusa (którego przy ulicy Głównej raniono śmiertelnie tasakiem w głowę), zostaje mianowany przez C. K. P. funkcjonariuszem na cały okręg łódzki.

Zapoznaje się w majątku Smardzew, pow. łęczycki, z działaczką socjalistyczną „Marją“ (Ciszewską), córką właściciela majątku, która ułatwiła mu pracę organizacyjną wśród chłopów.

Chłopi garną się masowo do organizacji, nawet zamożni,

W Turku aresztowany przez strażników, pięścią powaliwszy jednego z nich, toruje sobie drogę do wolności.

W Łodzi tymczasem budzi się ruch robotniczy.

Pod wpływem akcji P. P. S. organizuje tow. Arciszewski manifestacje przy ul. Zarzewskiej i Fabrycznej przeciw wojnie z Japonją i mobilizacji w Polsce.

W manifestacji na Nowym Rynku padł zabity chorąży sztandaru tow. Książczyk.

Tow. Arciszewski udaje się do Zagłębia po dynamit i z przywiezionego konstruuje bombę, od której ginie przy ul. Długiej sprawca zabójstwa tow. Książczyka komisarz policji Szatłowicz.

Ażeby przeszkodzić mobilizacji, między Łodzią i Pabjanicami dynamitem wysadza część mostu kolejowego.

W 1905 roku wyjeżdża na konferencję partyjną, na której to dokonała i zw. zamachu stanu „lewica“ partji, usuwając od kierownictwa żywioly niepodległościowe. Konferencję tę bezprawnie przekształcono na „Zjazd Partyjny“.

Proponowany mu przez „lewicę“ mandat do C. K. R. od rzuca. Popada w niełaskę nowych władz partyjnych, na skutek czego zostaje wysłany zdala od głównych ośrodków ruchu z Siedlec do Białegostoku.

W 1905 roku zniechęcony do pracy agitacyjnej z powodu warcholstwa „Lewicy“, wyjeżdża do Krakowa na kursa szkoły bojowej; kończy ją jako jeden z najlepszych uczniów. Wykładano wtedy znajomość obchodzenia się z bronią, materiałami wybuchowymi, terenoznawstwo, zasady organizacyjne armji pruskiej, austriackiej i rosyjskiej, pomoc lekarską w nagłych wypadkach, budowę szańców, barykad i t. p.

Po ukończeniu szkoły wyjeżdża do kraju pod nazwiskiem jako student medycyny Marjan Dura. Na granicy zostaje przez żandarmów rosyjskich zatrzymany; oświadcza, że jest poddanym austriackim, wobec czego zostaje odesłany do Mysłowic, gdzie Prusacy trzymają go miesiąc w areszcie, a następnie przez żandarmerję pruską zostaje odstawiony do granicy austriackiej. Wydobył go wtedy ze szpon. pruskich, dostarczywszy mu paszport austriacki, socjalistyczny działacz górnośląski Biniszkiewicz.

Po trzech dniach przedostał się szczęśliwie do Królestwa.

Po dwóch tygodniach organizuje z tow. Torem demonstrację zbrojną na Woli jakoteż zamachy: na placu Trzech Krzyży na sędziego wojennego, znanego z pastwienia się nad politycznymi i na ulicy Marszałkowskiej na komisarza policji Konstantynowa. Rzuconą wówczas bomba pęka ze sztraszliwym skutkiem i rozrywa na kawałeczki znanego w Warszawie z bestjalstwa satrapę.

W tym czasie organizacja zawarła kontrakt z kilku zagranicznymi fabrykami broni, na znaczniejsze transporty mauzerów i browningów. Rachunki wynosiły około 200 tysięcy rubli. W kraju urządzono laboratorium do wyrobu materiałów wybuchowych. Wydawnictwa partyjne dosięgały od lipca 1906 do

czerwieca 1907 roku kilka milionów egzemplarzy różnych wydawnictw.

Wobec tych olbrzymich potrzeb, koniecznych do zwycięstwa ruchu rewolucyjnego, należało zdobywać pieniądze rządowe, wyciskane przez Moskali w sposób rabunkowy z ludności naszego kraju bezpośrednio od satrapów carskich. Sprawę konfiskat powierzono tow. Arciszewskiemu, który z powierzonego zadania wywiązuje się świetnie.

Jako instruktor bojowy organizuje w jednym dniu kilkanaście napadów na monopole rządowe. We wszystkich tych sklepach spalono lub zniszczono urządzenie.

W „krwawą środę“ 1906 roku jako okręgowiec bojowy w Mińsku Mazowieckim kieruje atakiem dwóch szóstek na pocztę, gdzie zabito żandarma i pięciu strażników.

Dnia 6 czerwca 1906 roku kieruje skutecznie zamachem na naczelnika żandarmerji Muradowa w Warszawie.

W ciągu dwóch tygodni bierze udział w kilkunastu zamachach na żandarmów, policję i rewirowych.

W lipcu 1906 roku organizuje udany zamach w Łazienkach na prowokatora Wiśniewskiego.

Kieruje zamachem na generała żandarmerji Margarskiego pomocnika general - gubernatora w Otwocku. Sledził go w poiągu od samej Warszawy, następnie daje znać szóstce, która zasypuje z śmiertelnym skutkiem powóz satrapy kilkudziesięcioma strzałami.

Ażebym dostarczyć organizacji prawdziwych rosyjskich paszportów, konfiskuje je w kilkunastu gminach.

W tymże czasie niektóre słabe i zdemoralizowane jednostki podczas aresztowań, chcąc uniknąć śmierci, rozpoczynają okres prowokacji.

Byli członkowie bojówki Dyrz i Sankowski informują szczegółowo „ochranę“ o działalności i czynach straszliwego „Stanisława“, „Marcina“ lub „Stefana“.

Rozpoczynają się masowe areszty w Warszawie; najdzielniejsi ludzie idą na katorgę lub szubienicę; na stokach Cytadeli ginie z okrzykiem „Niech żyje Niepodległa Polska“ Montwił Mirecki.

„Ochra“ naznacza 10,000 rubli nagrody za schwywanie „Stanisława“.

Aresztowania masowe członków organizacji bojowej trwają nadal. Straszliwe spustoszenie w organizacji czynili Dyrz i Sankowski, których należało za wszelką cenę usunąć. Następnie prowokator Sankowski aresztuje narzeczoną tow. Arciszewskiego (obecnie żonę); jej siostrę i szwagra; ojcu jej Sidorowiczowi (pseudonim Szymon) przyrzekł naczelnik „Ochrany“ Zawarżyn, że jeżeli „Stanisław“ zostanie schwytyany, to dostanie sutą nagrodę i córki wypuszczą natychmiast na wolność, inaczej zesła ją bezlitośnie na Syberję. Po porozumieniu się z Sidorowiczem tow. Arciszewski godzi się, ażeby Sidorowicz propozycję przyjął i nawiązał kontakt z Dyrzem i Sankowskim.

Po pewnym czasie obydwaj prowokatorzy uwierzyli w szczerłość Sidorowicza udawali się z nim co pewien czas na bibki.

Organizacja bojowa za pośrednictwem tow. Adrijana została powiadomiona że do knajpki na rogu Wareckiej i Placu Wareckiego przybędzie Sidorowicz z Dyrzem i Sankowskim.

Bojowcy zajęli miejsca przy stolikach w oczekiwaniu gości. Po chwili elegancko ubrani, przybyli w towarzystwie Sidorowicza Dyrz i Sankowski.

Nie spodziewając się niebezpieczeństwa, rozpoczęli wesołym humorze przedśmiertną bibkę.

W pewnym momencie zerwali się z miejsc członkowie szóstki i z okrzykiem „śmierć prowokatorom“ dali do nich kilkanaście strzałów.

Sankowski zerwał się do ucieczki, lecz zdążył wykrzyknąć jedno słowo tylko „laski“. Obydwaj zostali zabici.

Po dokonaniu zamachu tow. „Stanisław“ ze swoim przy-

szłym teściem Sidorowiczem udał się do mieszkania, ażeby zarządzić jego żonę staruszkę, lecz ta oświadczyła, że pod żadnym pozorem z miejsca się nie ruszy, choćby jej nawet śmierć groziła. Po chwili przybyła policja i rozwiścieczona stracją swych dwóch pomocników aresztowała Sidorowiczową i po miesiącu córki zesłała do Berezowa (gub. Tobolskiej).

Jako jeden z uczestników zamachu na prowokatorów został aresztowany podczas jednej z akcji z bronią w rękę Tarantowicz, pseud. „Albin“. Był to człowiek słaby i zarozumiały. Skazany na śmierć wobec sędziów skruszonego i oświadczył, że żałuje za swoje winy i za ulaskawienie zdecydowany jest wydać znanych mu bojowców i partyjników.

Rozpoczynają się na prowincji znów masowe aresztowania i polowania na nieuchwytnego a strasznego dla pacholków carskich „Stanisława“.

Tarantowicz, widząc po pewnym czasie, że nikogo już więcej aresztować nie może, przeczując, że dla żandarmerji stanie się wkrótce zbyt ciężkim i że mogą go tak samo, jak i innych prowokatorów, skazać na śmierć, pisze list błagalny do partji, zobowiązując się znów wyjawiać tajemnice „Ochrany“.

Ażeby ocalić wielu ludzi podczas procesów od niechybnej śmierci, organizacja ułatwia wyjazd Tarantowicza zagranicę. Po kilku miesiącach Tarantowicz wyjeżdża z Krakowa do Rzymu, gdzie zostaje zgładzony przez członków organizacji bojowej.

Tow. Arciszewski, jak mawiano zwykle w Wydziale Bojowym, po skórze instynktownie poznawał prowokatorów.

W 1906 roku wkręcił się do organizacji bojowej prowokator Prot, student Politechniki. Po zetknięciu się z nim tow. Arciszewski oświadczył kategorycznie, że jest to prowokator. W Wydziale Agitacyjnym oburzano się na to „histeryczne“ posądzenie, lecz potem fakty dowiodły, że tow. Arciszewski miał najzupełniejszą rację. W 1907 r. na żądanie tow. Arciszewskiego Prot został usunięty z Organizacji Bojowej, a w rok później Bakaj w swoich zapiskach wspomina, że Plebański Ta-

deusz, pseud. „Prot“ był na usługach warszawskiej „Ochrany“.

Po oczyszczeniu atmosfery z prowokatorów tow. Arciszewski wyjeżdża do Lublina kierować robotą bojową w tym okręgu.

W Rejowcu kieruje zamachem na państwową kasę stacji kolejowej. W odległości dwóch wiorst znajdują się dragoni i kozacy. W akcji biorą udział trzy szóstki. Pod kasę tow. Arciszewski zakłada dynamit, który jednak dość długo nie wybucha. Dla sprawdzenia przyczyny zbliża się do kasy, gdy wtem rozlega się ogluszający huk, drzwi i okna wyleciały z trzaskiem z zawias, pancerna kasa rozpołowiła się na dwoje, a tow. „Stanisław“ rzucony straszną siłą wybuchową o sufit upadł ogluszony na ziemię, przysypany odłamkami szkła i żelaza... Po chwili ku zdumieniu bojowców, którzy spodziewali się, że wybuch rozerwał go na sztuki, wydobywa się z pod gruzów, z lekkimi ranami na rękach i głowie i donośnym głosem wydaje bojowcom rozkazy dla odparcia atakujących już stację policjantów i żandarmów.

Ocalenie zawdzięczał tylko temu, że stał w pobliżu miejsca wybuchu dynamitu, i jak zwykle, szczęściu. Pieniądze pod ochroną szóstki, która pozostała do ostatniej chwili na stanowisku, osłaniając odwrót, odstawiono na skonfiskowanej szlagonowi bryczce do Lublina.

Podczas kierownictwa akcją bojową na kasę państwową akcyzy przy ul. Zamojskiej w Lublinie (naprzeciw kościoła katedralnego) wpadł sam do pokoju, pozostawiając na dole bojowców. Wózny zatrzasnął drzwi żelazne pokoju kasy, tak, że tow. Arciszewski znalazł się jakby w pułapce. Nie namyślając się długo, wyskoczył z pierwszego piętra na podwórze i ostrzegając się skutecznie z wywichniętą nogą, ukrył się u tow. Ryczka przy ul. Jezuickiej 13.

W zamachu na kasjera rządowego w okolicach Grabowa w powiecie Lubartowskim, kiedy zawiódła zamokła broń szeregowców szóstki, rzucił się sam na wóz z żołnierzami, lecz ko-

nie, spłoszone strzałami, poniosły, zostawiając na szosie zabitych 2 strażników.

W 1907 roku powraca do Warszawy i tropiącym go wsząd szpiclom daje znać o sobie.

Kieruje akcją bojową na pocztę przy ul. Wspólnej w Warszawie.

W gmachu zapelnionym policją, który znajduje się w bliskości cyrkulów policyjnych w śródmieściu, z prawdziwą flegmą angielską kieruje swoją drużyną. Podczas wynikłej w gmachu strzelaniny palto i kapelusz miał kilkakrotnie przestrelone. W akcji zostało zabitych dwóch szpicli, 5 strażników i Moskał woźny.

Pada wtedy zabity przez Moskala woźnego tow. Józef Karłocha, który pomimo utkwionej kuli w brzuchu zdążył spełnić rozkaz i przerwać połączenie telefoniczne z miastem.

Podczas akcji na środku sali stał tow. „B.“ z rozwiniętym pepesowskim sztandarem. Rannych trzech bojowców odwieziono szczęśliwie do konspiracyjnego mieszkania.

Pomimo szalonej naganki „Ochrany“ nie rozstawał się nigdy z „Mauzerem“ i „Browningiem“.

W pokoju kawalerskim spał zawsze snem sprawiedliwego. Mieszkania dobierał sobie z możliwością odwrotu w razie najsćcia policji.

Zwykle dla zabezpieczenia się przed nagłym wtargnięciem policji, stawiał na specjalnym stołku bombę pod drzwiami; w drugim pokoju kładł na stoliku nocnym nieodłącznego „Mauzera“.

Nieraz szpicle towarzyszyli mu do bramy, lecz nie mieli odwagi zaczepić go na ulicy.

W 1907 roku w Sławkowie pod Dąbrową na czele jednej szóstki rzuca bombę pod pociąg, wiozący pieniądze. Czereda moskiewska rozbiegła się w popłochu. Następnie na odczepionej lokomotywie ze sztandarem pepesowskim dojeżdżają

szczęśliwie do Strzemieszyc. Dróżnicy salutują w drodze przed sztandarem.

W 1907 roku jako instruktor bojowy przybył do Łodzi. Rozgorzały wtedy smutne walki bratobójcze. Policja carska ściągała wieczorem z ulic posterunki, sprzedawała broń konfiskowaną robotnikom podczas pogrzebów i zacierała ręce, że cudzemi rękoma pobędzie się „kramolników“.

Należało za pośrednictwem akcji bojowej wymierzonej w pacholków carskich, zamącić sielankę z różnymi skrytobójcami i położyć kres wzajemnemu mordowaniu się robotników, co też potem częściowo się udało.

W 1907 roku w Łodzi w sierpniu kieruje napadem na wóz monopolowy przy ulicy Przędzalnianej rzuca pocisk, ten eksploduje, a spłoszone konie unoszą wóz z kasą. Nie namyślając się wiele, rzuca się w pogoń, chwyla konie, zrzuca z wozu czterech żołnierzy, zabiera 4 worki z pieniędzmi, zdejmuje palto, i owińawszy w nie pieniądze, niesie wśród gradu kul do ulicy, na której czeka umówiona do zabrania pieniędzy kareta.

W dwa dni po tym napadzie ukazały się ogłoszenia gubernatora wzywające mieszkańców do oddawania posiadanej broni. Wpłynęło to w znacznym stopniu na zmniejszenie walk bratobójczych.

W 1908 roku kieruje akcją na pocztę w Miedzianej Górze pod Kaliszem.

W 1909 roku bierze udział w słynnym napadzie na pociąg w Bezdanach, gdzie skonfiskowano kilkaset tysięcy rubli.

W roku 1909 wyjeżdża do Galicji i stamtąd kieruje Organizacją Bojową w kraju, dokąd co pewien czas wyjeżdża.

Od roku 1911 pracuje zarobkowo, jako monter we Wschodniej Galicji.

Z wysiłków pozostałych rozbitków organizacji bojowej P. P. S. powstają pierwsze koła strzeleckie; prowadzi je dalej Sosnkowski.

W 1914 r. wybuchła wojna: tow. Arciszewski wstępuje do pierwszych szeregów kompanji kadrowej, wyruszającej do Królestwa. Staje na czele „Oddziału lotnego“, złożonego z byłych bojowców, wyprzedzającego zawsze szeregi strzeleckie. Bierze udział w kilkunastu bitwach i potyczkach. Dosługuje się ofiarną walką i pracą rangi porucznika.

W końcu 1914 r. bierze się na nowo do roboty P. P. S. Staje na czele Związku Metalowców w Warszawie. Wchodzi z kurji powszechnej do warszawskiej Rady Miejskiej, występuje z ostrą krytyką działalności okupantów. Niemcy wydają rozkaz aresztowania go. W tym czasie wszyscy radni z kurji robotniczej zostają wysłani do obozu jeńców.

Tow. „Stanisław“ staje się znowu nielegalnym i tu znowu, ścigany przez zbirów niemieckich, pracuje niezamordowanie, biorąc także udział w akcji bojowej przeciwko okupantom.

Po przewrocie zostaje ministrem Rządu Ludowego, a następnie Ministrem Poczty i Telegrafów za rządów Moraczewskiego.

Z Zagłębia, w którym kiedyś jako młodzieniec rozpoczął pracę oświatową i socjalistyczną, wchodzi jako poseł i przedstawiciel proletariatu do Sejmu Ustawodawczego.

Oto plon życia człowieka, którym się chlubić i poszczycić może nie tylko P. P. S., ale cała Polska walcząca o ostateczny tryumf Niepodległości i Pracy!



Z listów więziennych.

Do S. N.

Liścik Twój, przyniesiony mi wczoraj przez klucznika, był radosnym wydarzeniem w życiu więziennem. Wskrzesał w duszy wspomnienia Twoich pieśczęt, a jednocześnie był smutnym przypomnieniem twardej rzeczywistości...

Od chwili poznania Ciebie marzyłem o naszym wspólnym szczęściu, o własnym ognisku rodzinnym, spokojnym i ciętym, które, jak twierdzą współtowarzysze niedoli, byłoby dysonansem w kraju, gnębionym brutalnie przez rządy najeźdźcy.

Wspomnienia chwil, przebytych wraz z Tobą, podczas których upajaliśmy się młodością i szczęściem, a usta płomienne były nienasycone rozkoszą, trapią mnie nieprzerwanie wizjami.

Pomimo, że czuję w sobie siłę dębu, żywiołowość burzy, i chęć pełnego ludzkiego życia, muszę, jak zwierzę ranione, szamotać się w czterech ścianach celi — bez nadziei...

Widzę z okien celi lazururowe niebo, czuję, jak wiosenne słońce zapładnia ziemię naszą, słyszę szum poruszanych wiatrem liści i głośny zew budzącej się po śnie zimowym przyrody..., lecz wszystko to nie dla nas...

Koralowe usta Twoje, mleczna biel ciała, kusząca, pełna wdzięku postać huraganem rozpętanych uczuć poją mnie słodkim udreżeniem.

Wczuwam się intuicyjnie sercem i duszą w istotę Twoją — ełchy szept zmysłów, gorące fale namiętności uderzają w wielki ton potężnego hymnu, lub też szumią w uszach, przekornie: „Zapomniała o mnie — zapomniała“...

W myślach zwiedzam miejsca naszych wspomnień, rozpałmiętywam rozkosz Twoich pieszczot, krasę Twych wdzięków, aieraz aż do rozpaczyny...

Snie często, że kołyszę Cię, jak ongi, omdlałą w moich ramionach, po przebudzeniu ogarnia mię rozczarowanie i żal, że to sen tylko. Jeżeli możesz, to przyjdź, Najdroższa, na pożegnanie... za kilka dni wysyłają nas na Sybir, niechaj ucałuję kochane usteczka Twoje...

Nie będę Ci czynił żadnych wyrzutów, wstrzymam krew w żyłach, każę młiczeć sercu...

Piszesz, że matka nie pozwala Ci na korespondencję z so- cjalistą, siedzącym w więzieniu, że Cię prześladowe... Nie dzi- wie się temu, bo matka pragnie dla córki męża, pogodzonego z jarzmem carskim i krzywdą ludzką, który, grzęznąc w błot- ku hipokryzji, dalszczyzny i zacofania, ochraniać będzie żonkę od niedostatku i trosk wszelakich. Od woli Twojej, mocy du- cha, umiłowania prawdy zależy przyszłość Twoja... Ja Ci tych warunków, w jakich żyje Twoje otoczenie, zapewnić nie mogę. Dopóki choć jeden najeżdźca znajduje się na naszej ziemi, a wyzysk, nędza, ciemnota i przywileje trwają niezmiennie, tak długo będę w szeregach tych nieprzejednanych, co walczyć będą nawet beznadziejnie...

Zastanów się dobrze — zanim zdecydujesz się, jak pi- szesz, przyjechać do mnie na zesłanie. Pamiętaj, że pomimo gorących uczuć, czekają nas na obczyźnie zmagania z losem, praca i troski. Wtedy trzeba będzie wielkiego hartu ducha, po- święcenia i... wytrwania. — Wybieraj, najdroższa, niechaj nie- tylko uczucie, ale i rozum podyktują Ci odpowiedź... W wezwa-

niu Konopnickiej „Do Kobiety“ znajdziesz uzupełnienie tego, oo myślę...”

— — — — —

Niestety, na list ten nie otrzymałem już odpowiedzi. Dość szybko opaliły się Ikarowe skrzydełka mojej romantycznej na- rzeczony. Jak mi potem na zesłaniu zakomunikowano listowa nie. wyszła w Łodzi za męża za podtatusiałego, lecz zamożnego filistra...

Podniebne wzloty, poezja i sentymentalizm panienci uto- nęły w pełnym korytku...

Wedle pojęć moralnych, tak zwanego „towarzystwa“, zro- biła, pomimo, że nie kochała swego męża, „świątą partję“...



Posiew fanatyzmu.

„Zesłany na czas trwania stanu wojennego, wzmocnionej i zwyczajnej ochrony“, tak brzmiał na moim dokumencie więziennym wyrok administracyjny żandarmerji carskiej.

Czyż wierzyć mogłem choć na chwilę w zniesienie stanu wojennego w Polsce, który od 1863 roku trwał nieprzerwanie?

Wiezienia etapowe od czasu ostatniego powstania zapelnione były przeważnie Polakami, a Królestwo Polskie było kolonią karną dla oficerów i urzędników rosyjskich, o przeszłości kryminalnej.

Oswoić się nie mogłem z tą straszną myślą, że wśród stepów orenburskich przyjdzie mi przebyć całe lata...

W wiosce, w której odbywałem zesłanie, było 35 Polaków, pozostałych dwudziestu mieszkańców należało do różnych narodowości, gnębionych przez państwo carów. Bardzo wielu zesłańców, skazanych za cięższe przestępstwa kryminalne, podszywało się pod miano „politycznych“ i dyskredytowało nas tylko wobec miejscowej ludności, która w czambuł zwalała ich przestępstwa na politycznych. Rząd carski, mieszając kryminalnych przestępców i politycznych, działał celowo i tendencyjnie. Na skraju wsi, w wynajętym od atamana kozackiego domu, mieszkało nas pięciu Polaków: dr. filozofji, tow. Korezyński, inżynier Świtak (z Ligi Narodowej), ob. T. R., student politechniki ryskiej, i nas dwu łodzian. Dla zabicia tęsknoty za krajem studjowaliśmy z zapalem nauki społeczne i przyrodnicze.

Węzły przyjaźni zacieśniły się pomiędzy nami tak silnie, że jeden za drugiego gotów był w ogień skoczyć.

Raz, siedząc jak zwykle przed domem, w dżdżysty dzień jesienny, dyskutowaliśmy z zajęciem doktrynerskim nad kwestją idealistycznego i materialnego pojmowania dziejów, gdy

wtem z krzykiem zdyszany i okrwawiony wbiegł jeden z zesłańców, oświadczając, że kozacy dokonywują pogromu na Polakach, mieszkających we wsi, z przyczyny, że jeden z rzeźmieszków warszawskich zraniał w sprzeczce śmiertelnie kozaka.

Czyn ten podniecił mieszkańców wioski i po chwili tłum kozaków, wyrostków i kobiet, uzbrojony w strzelby, szable i drągi, idąc od domu do domu, wywłóczył Polaków i bił bezlitośnie.

Ci, którzy bronili się, padali zabici pod ranami rozwścieczonej tłuszczy. Policja wioskowa, złożona z kozaków, pochowała się celowo po kątach. Urządnik z strażnikami wyjechał przed zajęciem ze wsi na objazd swego udziału. Nie pomogły prośby i błagania nieszczęśliwych, kobiety gryzły i drapały katowanych, powtarzających z wściekłością: „Pomnij, swołocz, oto za Siergieja!“

Na błaganie bitych Polaków, że nie mogą wszyscy odpowiadać za jednego bandytę, odpowiadano z fanatycznym wrzaskiem: „Za Poljaka-razbojnika pust' wsie padochnuł!“

Tłum zbliżał się do naszej chaty... Zdaleka dolatywał nas przeraźliwy krzyk katowanych: „O Jezu, Jezu!“, „Ratujcie!“, „Meża mi za-bi-li!“, zawodziła przejmująco żona jednego z zesłańców.

— Co robić? — błąd, jak płótno, drząc, jak liściek, powtarzał przerażony dr. K.

— Bronić się do upadłego — odpowiedzieliśmy zgodnie z zaciętością i mocą.

Zatarasowaliśmy drzwi, okna, a każdy z nas, ścisnąwszy w rękę karabin, czuł, że to może ostatnie chwile jego życia.

— Wystrzelamy naboje, a potem siekiery puścimy w ruch na psu-bratów! — wyrzekł rozkazująco inż. S.

— Pomścimy niewinnie pomordowanych, do ostatniego tchu! — ze łzami w oczach krzyczał podniecony tow. K.

— Do upadłego! — wołaliśmy wszyscy, dziwnie podniecony i rozgorączkowany.

Po chwili gruchnęły jednocześnie nasze salwy. Tlum, nie spodziewając się takiego przywitania, zatrzymał się z respektem w pewnym oddaleniu, a potem gradem kul obsypał również nasze okna.

Kanonada obustronna trwała 10 minut. Po pewnym czasie ucichły strzały, a jeden z kozaków wezwał nas do poddania się. Odpowiedzieliśmy mu, że nikogo we wsi nie zaczepialiśmy, bójek nie urządzamy i nie mamy powodu oddawać się na pastwę rozbestwionej tłuszczy.

— Spalimy was! — zawyły kobiety.

— Spalcie, zbójce, ale przed śmiercią naszą wyślemy nie jednego z was do czarnej matki! — odrzekliśmy.

Kozacy ułokowali się naprzeciw w ogrodzie, w zaroślach, i ostrzeliwali nas coraz gęściej; odpowiadaliśmy coraz rzadziej, amunicja nasza wyczerpywała się. Położenie nasze stawało się tragicznym.

Raptem strzały ucichły, a przed domem naszym, na spienionym koniu, ukazał się „urządnik“ wraz z starszą kuzalką, wołając z daleka:

— Zsylnyje, pierestańtie strielať, niczewo wam nie budiet!

Odsunęliśmy zapory we drzwiach, wpuszczając do izby „uradnika“, który pewnym krokiem wkroczył do środka, informując się o przyczynie i przebiegu krwawego zajścia.

Po wybawieniu nas z oblężenia, dowiedzieliśmy się, że zabito 3 Polaków, raniono 14-tu. Nazajutrz braliśmy udział w smutnym pogrzebowym obrzędzie. Pochowaliśmy ziomek, zeszcpanych w okropny sposób, zdala od swoich, na wrażej ziemi.

Zona zabitego zesłańca popadła w obłęd, wpatrując się godzinami bezmyślnie w jeden punkt.

Sprawca tych zająć przepadł bez wieści.

Nad grobem ofiar fanatyzmu przemawiał ob. T., wskazując na barbarzyństwo moskiewskie, które za niecne czyny rzezimieszka-Polaka uczyniło odpowiedzialnymi wszystkich.

Fanatyzm i nienawiść rasowa — twierdził — to główne przeszkody w urzeczywistnieniu zasad Chrystusowych i szczytnych ideałów ludzkości. Bestje w człowieku zwycięży nareszcie musi miłość bliźniego, a rozwój nauki i kultury wypłeni chwast nienawiści, posiany przez piekło...

Minęło lat dziesięć... poszli precz z polskiej ziemi najeźdźcy. Niepodległa Polska ze słowa stała się ciałem, lecz pomimo to głód skrecał po dawnemu wnętrze rzesz robotniczych, a skutki wojny, egoizm klas posiadających, brak pracy, nędza i rozpacz wyprowadziła masy na ulicę. Polaka się krew. Na polbojowisku, jak hjeny, wśród trupów żerować zaczęli z jednej strony komuniści, którzy żagiew nienawiści chcieli rzucić pod nagromadzone prochy, celem uzyskania dyktatury nad proletariatem, z drugiej strony sprawcy nędzy ludu, męty społeczne, pacholkowo wstecznicstwa wzniecali płomień nienawiści, ażeby odwrócić uwagę pokrzywdzonych od własnych win, a skierować, jak zwykle, za dawnych praktyk carskich, na Żydów...

Wśród gromadki przechodniów, podnieconych i rozprawiających głośno na ulicy o krwawych zajściach spotkałem znajomego z zesłania, robotnika N.

— Co słyhać? — zapytałem.

— Żyd strzelił z dachu do policji, co spowodowało strzały do manifestantów, więc bić tych psu-bratów! — krzyknął za-perzony.

— Pamiętasz, bracie, pogrom Polaków w Miasowej, gdzie za jednego łotra padło tyle ofiar? — zapytałem.

— Pamiętam — odrzekł zawstydzony i zdawało mi się, że poprzez mroki mózgu uciemnionego szalem zaślepienia i fanatyzmu, przeniknęło światło wielkiego wskazania, streszczającego się w słowach prostych a głębokich: „Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło!“...

Bolesna prawda.

Rok rewolucyjny 1905/6 był jednocześnie przebudzeniem z długoletniego snu gnębionych ludów państwa carów. Płomień rewolucji obejmowały olbrzymie przestrzenie, przerzucając się po obszarach Rosji, jak straszliwy pożar lasu. W Królestwie Polskim ruch rewolucyjny, podsycany przez działalność P. P. S., zatoczył szerokie kręgi.

Strach ogarnął łapownice i krwiożercze zgraje urzędników w kraju naszym. „Krwawa środa“, zorganizowana przez P. P. S., kiedy w jednym dniu rzucono kilkanaście bomb i zabito lub raniono w różnych miejscowościach zgorą 100 Moskali, była wspaniałym przejawem potęgi i siły organizacji bojowej, nieuchwytej a straszliwej dla najeźdźców, znienacka razila wrogów piorunem swego czynu. Dla ochrony różnych satrapów nie starczyło już żołdaków, którzy w wielu wypadkach odmawiali posłuszeństwa swoim przełożonym. Za skonfiskowane pieniądze carskie przez P. P. S. w Wysokiem Mazowieckiem sprowadzono broń, urządzano drukarnie i przeznaczono dziesiątki rubli na agitację rolną i wojskową.

W 1906 roku organizacja podzieliła kraj cały na odpowiednie okręgi partyjne. Na czele każdego okręgu stał okręgowiec, którego zadaniem było nawiązanie stosunków organizacyjnych z każdą wioską w okręgu, ażeby wśród biernych mas rozbudzić potrzebę walki o godność, byt i Niepodległość.

W 1906 roku od lutego do czerwca Wydział wiejski rozpowszechnił około trzech milionów odezw.

Wobec nędznego położenia służby folwarcznej hasła pepe-sowe padły na grunt podatny.

Wybuchł pierwszy strajk rolny o podłożu ekonomicznem, lecz jednocześnie i rewolucyjnem, obejmując większość folwarków w kraju.

Wściekłość żubrów obszarniczych nie miała granic. Jakto, ten potulny, pokorny, bity i wyzyskiwany dotychczas bezkarnie niewolnik folwarczny śmiał żądać czegokolwiek? To nie mogło w żaden sposób pomieścić się w zakutych łbach szlacheckich, więc zwracano się o pomoc do księży, policji, żandarmerji, organizowano „konną milicję narodową“ celem tępienia i wyłapywania „socjałów“.

Z ambon księży po wsiach wzywali wprost do zabijania „nowinkarzy“.

Karne ekspedycje kozackie, dragońskie, żandarmskie i policyjne pastwiły się barbarzyńsko nad schwytanymi towarzyszami i strajkującymi robotnikami.

Jako okręgowiec, udałem się z „dobrą nowiną“ do wsi C. w powiecie łęczyckim. Na drodze zostałem dognany przez oddział kozacki, raniony szabłą w głowę i odstawiony do więzienia.

Do okolicznych wiosek wysłano wtedy karne ekspedycje wojskowe z żandarmami, strażnikami i członkami konnych druzyn „narodowych“.

Fornali bito w bestjałski sposób, łamano żebra, wybijano zęby lub chłostano nahajami do utraty przytomności.

Setki aresztowanych chłopów i fornali zapełniło więzienia.

W więzieniu łęczyckim, w którym odbywałem karę, w obszernych celach, w których prześliczna ornamentyka i ozdobne gzymsy z aniołkami przypominały dawny klasztor, siedziało sto osób, aresztowanych przeważnie za strajki rolne. Do naszej celi wprowadzono kilkudziesięciu zbitych i posiniaczonych strasznie fornali.

Niektórzy z nich po kilka dni leżeli bezwładnie na pryczach, gdyż każde poruszenie się z piersi nieszczęśliwych wywoływało przeciągły jęk.

Do jednego z fornali, leżącego na pryczy więziennej, skatowanego, z wybitem okiem, zbliżyłem się ze słowami wytrwania i pociechy.

— Bracie, cierpisz za Polskę!... Za wolność!... Za świętą sprawę!... Tam, gdzie drwa rąbią, tam i wióry lecą. Wróg nasz silny, ale zęby nam zacisnąć, a jak wypuszczą cię na wolność, to bierz broń do ręki, łącz się z innymi i bij tych psuibratów za swoje i narodu krzywdy!

A jak się zbierze takich mścicieli miliony, to wypędzimy „Mochów“ z kraju i będzie Polska wolna i szczęśliwa, lud rządzić w niej będzie. Nie będzie w niej miejsca dla żandarmów i złoczyńców.

— Ale kiedy to będzie? — odrzekł z niedowierzaniem.

— Będzie, tylko chceć i pragnąć najpierw całym sercem trzeba, a wiara ta wszelkie wraże moce zmoże...

— A co będzie wtedy z szlachtą i panami — zapytał ciekawie.

— Pracować muszą po równości, jak każdy gospodarz, bo ziemia będzie własnością całego narodu.

— Dałby Bóg — odrzekł rozpromieniony — nie żał byłoby mi mojej męki.

Po latach wielu słowo stało się ciałem.

Polska zmartwychwstała... ale nie ta wyśniona, niejednokrotnie w bezsennych nocach więziennych, lecz... jaśnie pańska.

Biorę „Robotnika“ do ręki i czytam:

„W wiosce C. w łeczyckiem podczas strajku rolnego dnia 23 października 1919 r. policja, żandarmerja i odkomenderowane do tych czynności wojsko hulało jak się patrzy.

Katowano służbę folwarczną w ciągu kilku godzin, ludziom wybijano zęby, łamano żebra, kolbowano i chłostano do

utruty przytomności, bito nawet kobiety brzemiennie. Wieczorem właściciel majątku gościł suto oprawców“.

Następuje długa lista ofiar z kilkunastu miejscowości z różnych stron kraju.

I to wszystko za to — pomyślałem — że od zubożonych ziemian-paskarzy fornal zażądał ludzkiego obchodzenia się i lepszej płacy...

Czytając o tych objawach zdziwienia i samowoli, zastanowiłem się głęboko nad przeszłością, nad tymi, którzy, pędzeni w tundry sybirskie, wpatrzeni w obraz „tej, co nie zginęła“, umierali ofiarnie za wolność i lud...

W 1906 roku pastwił się nad ludem barbarzyńca wschodni, najeźdźca, Moskal. — A dziś? Swoi... Ziomkowie... w obronie panowania trzosa i rodzimego nahaja!

Ohyda!...

Przed oczyma mej duszy przesunął się obraz z przeszłości, gdzie w celi więziennej, przed kilkunastu laty, skatowanemu przez Moskali fornalowi kazałem cierpieć i walczyć o przyszlą Polskę Pracy.

Być może, że ten sam fornal znajduje się skatowany i zbity znów w tem samym więzieniu...

Litery w gazecie zamigotały mi przed oczyma, jak krwawe pręgi...

Zdało mi się, że widzę tego samego fornala ze wsi C., leżącego na więziennym tapczanie i wspominającego moje obietnice z 1906 roku. Złorzeczy mi może i przeklina.

Z bolesnych szamotań ducha zrodziła się w świadomości mojej straszna myśl rozpaczy, że oszukałem tych ludzi prostych... Tam... ongi... w więzieniu łeczyckiem... kiedy im kazałem wierzyć niezłomnie, cierpieć i znosić rany dla Polski chłopskiej i robotniczej...

Wigilja w więzieniu.

Dnia 10 grudnia 1907 roku zostałem wraz z innymi towarzyszami ze Związku Włóknistego zaaresztowany i przetransportowany do więzienia przy ul. Cegielnianej. Była to trzypiętrowa kamienica, typowe pudło łódzkie, z kilkudziesięciu oknami, zakrytymi żelazną blachą.

Cele, poprzerabiane z robotniczych izdebek mieszkalnych, były brudne, ciemne i pełne robactwa.

Jedzenie, tak zwane „wałówki“, udawało się więźniom otrzymać przy pomocy łapówki, którą odbierał Moskal - klucznik, stojący przy bramie. Solidarność łapówkowa strażników więziennych zyskiwała sobie prawo obywatelstwa, gdyż, ażeby nikt z nich nie czuł się pokrzywdzonym, codziennie przy bramie stał inny strażnik.

Jak stwierdzili oni sami, przeciętny dzienny dochód strażnika przy bramie wynosił 50 rubli, nie licząc kradzieży koszykowych, dokonanych przez dozorców więziennych. Kto nie płacił łapówek, czekał przed bramą z obiadem dla więźnia przez kilka godzin, a nieraz wogóle nie udawało się obiadu dostarczyć.

W celi pod nr. 5 siedziało nas kilka osób, pomiędzy innymi, jako przestępca polityczny, ob. Sumieski, obecnie zastępca komendanta łódzkiej policji konnej, a obok, w drugiej celi, osadzeni byli zaaresztowani kolejarze z obywatelem Sadoczyńskim, dzisiejszym radnym N. Z. R-u w Łodzi.

W wigilję dnia 24 grudnia każdemu z nas przysłano z domu opłatek i siedem tradycyjnych potraw. Ob. Sumieskiemu

przyniesiono nawet z domu (za grubą łapówkę) wino i wódkę. Z ukazaniem się pierwszej gwiazdki na niebie, którą zauważył jeden z towarzyszy naszej niedoli, posadzony na ramionach, przez szczelinę zakrytego okna, rozpoczęliśmy kolację wigilijną. Łamiąc się opłatkiem, życzyliśmy sobie wzajemnie tylko wolności i upadku caratu. Sprawy rodzinne i osobiste nie wchodziły zupełnie w rachubę.

„Co będzie z nami w przyszłym roku?“, zagadnął jeden z współtowarzyszy niedoli. Momentalnie powiał chłód po zabranych, bo niejednego czekał stryk, katorga, a już, jako pewnik: zesłanie na Syberję.

„Wszystkie nasze wysiłki idą na marne, bo motłochu nie pchniesz do walki z caratem. Daj im sute zarobki i tanią wódkę, a krzyczeń będą: „Niech żyje car i jego zgraja“ — dodał z goryczą drugi.

„Nie odrazu Kraków zbudowany. Historia uczy nas, że wszystkie wysiłki pionierów nowych idei spotykały się z obojętnością, a bardzo często z wrogim nastrojem tych, którzy przywykli do jarzma, bagienka i ciemnoty“ — dodał z zapalem inny.

„No, panowie, w górę serca!“ — wykrzyknął ob. Sumieski i począł nalewać wino w przykrywkę baniek, zastępujących kieliszki.

Nastroj wśród więźniów zapanował szczerzy, uroczysty. Gwar w celach umilkł, każdy spożywał otrzymane dary wigilijne i dzielił się z współtowarzyszami. Strażnicy, udobruchani sutym „połowem“, bo połowę z dostarczonego pożywienia zwykłe skradli, zezwolili nawet na śpiew. Ze wszystkich cel pógłosem nuczone, dołatywały tony kolend i pieśni:

Wiemy, że tam za murami nasi bracia dalej wataczą
I ciągnąją razem z nami podłą czerń służalczą.

Po chwili ciszy zabrzmiało znów:

Choć pod oknem kazamaty, wróg nasz dzierży straż,
Nam przyświeca z poza kraty krwawy szlandar nasz.

Widocznie kompozycja któregoś z aresztantów rozległa się ochoczo:

„I my towarzysze w „turmie“ za kratami odcięci od swoich grubymi murami: Niech nasz stan nie smuci, wróci wolność, wróci! Hej kolenda! kolenda!“

Spiew nagle przerwały rozlegające się na ulicy strzały, nawoływania dozorców, moskiewskie ordynarne przekleństwa i jęk przejmujący.

Cóż się stało? Otóż prowadzono ulicą trzech więźniów z żandarmskiego badania. Jeden z nich, uczniak, aresztowany za należenie do organizacji młodzieży, chciał ratować się ucieczką. Żołnierze dali salwę i aresztant, nieledwie dziecko, padł śmiertelnie raniony. Po godzinie zmarł na korytarzu więziennym. Pozostałych dwóch schwytano i bito bez miłosierdzia.

Po dłuższej chwili matka zabitego, nie wiedząc o niczem, przyniosła mu wigilijną kolację i padła zemdlona pod bramą więzienia, gdy, niby piorun z jasnego nieba, spadły na nią słowa pijanego Moskala - klucznika: „Użę padoch, syn miatieżnik. Udirał sukin syn“.

Stojąc na ramionach kolegów, z uchem przyciśniętem do okna, komunikowałem moim towarzyszom niedoli o tem, co zachodziło na ulicy. Nikt z nas już dnia tego tknąć nie mógł kolacji wigilijnej. Ślubowaliśmy sobie tylko, iż nie zapomnimy nigdy krzywdy ludu polskiego i do ostatniego tchu mścić się będziemy na pacholkach caratu, za niewinnie przelaną krew tych, którzy zdobywali się na heroiczne wysiłki w imię wielkiego ideału wolności.



Szara dola.

Ciemna noc okryła całunem całą okolicę. Księżyc ukrył się za ciężkie ołowiane chmury... Mroki wypełzły na drogę, układały się w fantastyczne kształty, łamały co chwila, to znów nikły... Pociąg elektrycznej kolejki dojazdowej, dudniąc i szumiąc, sunął po szynach dość szybko. Dwie elektryczne latarnie pociągu świeciły w ciemności niby ślepia potwora.

Prowadzący pociąg motorniczy, trzymając jedną ręką korbę elektrycznego regulatora, drugą hamulec ręczny, wyteżał wzrok w ziemię, ażeby móc coś ujrzeć. Napróżno. Stożkowaty cień pociągu rozplywał się w przejazdach, kładł się wpoprzek linji lub zwodził i trwożył oczy.

A może to pijak włóczy się po nocy między szynami? Od tych myśli i przypuszczeń motorniczego dreszcz przebiegał od stóp do głowy, a wraz z rytmem własnej krwi togotało w piersiach, jak młotem, przestraszone serce.

Bardzo często wylaczał prąd, wysilał swoje siły, ażeby zahamować pociąg, lecz przeważnie okazywało się, że to gra światła elektrycznego lub przywidzenie. Wtedy zwykle, porwany pasją, kłął siarczyście, a włączywszy prąd na dziewiątkę, jechał już z całą szybkością.

Motorniczy pospieszał w jezdzie, bo wóz, naładowany drzewem, u którego oś pękła na samym przejeździe, zatrzymał to kilkanaście minut, a tu naznaczony czas na krańcową sta-

sję przybyć trzeba, bo w przeciwnym razie czeka go za to raport lub przewlekłe tłumaczenie się na stacji.

Zdała, nie przeczuwając nic, jechał — „po kawalersku“, podochocony na jarmarku chłop. O kilkanaście kroków przed pociągami skręcił gwałtownie do swego gospodarstwa, położonego tuż przy samej linii.

Uczynił to tak niefortunnie, że wóz zakolysał się gwałtownie i runął bokiem na przejazd, wyrzucając do rowu niefortunnego furmana. Wagon tramwajowy z łoskotem zbliżał się błyskawicznie do miejsca wypadku. Coraz bliżej i bliżej...

Motorniczy, nie spodziewając się niczego, nagle w odległości kilku kroków dojrzał leżący na linii wóz chłopski. Pod wrażeniem niebezpieczeństwa krew uderzyła mu do głowy, począł hamować jednym i drugim hamulcem pociąg. Naprawdę, bo rozpedzony szybką jazdą wagon, uderzył całą siłą w wóz i rozbił go na drobne kawałki...

Rozległ się brzęk tłuczonych szyb wagonu, trzask druzgotanych ram okiennych i głuche uderzenie wyginanego buforu i pudła wagonowego... Po chwili miejsce wypadku wyglądało jak pobojowiśko, zasłane szczątkami pogruchotanego wozu i wagonu. Konie chłopskiego wozu w panicznym strachu urwały dyszel i, rżąc rzgłośnie, pobiegły na okoliczne zaśnieżone pola.

Chłop, nie wiedząc o niczem, chrapał snem sprawiedliwego w rowie... Po zjechaniu do remizy z rozbitym wagonem, pełen troski i niepokoju, z głową opartą o spracowane dłonie, pisał motorniczy raport do dyrektora kolejki.

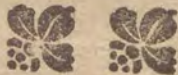
„W dniu dzisiejszym, jadąc pociągiem nr. 1 o godzinie 11½ w kursie 28, najechałem wagonem na leżący na przejeździe wóz, skutkiem czego nastąpiły następujące uszkodzenia pociągu i t. p.“

Czyż uwierzą w moją niewinność? pomyślał w zniechęceniu. Przecież prasa, publiczność i zwierzchnicy zawsze czynią odpowiedzialnym za wypadek maszynistę.

Nazajutrz oznajmił służbie zawiadowca stacji, że za uszkodzenie wagonu został motorniczy Dworakowski zawieszony w służbie aż do decyzji dyrektora, który po kilku dniach kazał mu zapłacić za uszkodzenie wagonu.

Prosta historyjka. Prawda? Może aż za prosta, by ją wam, czytelnicy, opowiadać. Bo cóż kogo obchodzić może, że ofuknięty i zbesztany wyszedł motorniczy z gabinetu dyrektora, że aż z nazbyt skromnej pensyjki płacić będzie kolosalne, jak na jego budżety kosztą naprawienia wagonu? Cóż to kogo obchodzi? Że w kimś serce wrzeć będzie z poczucia niesprawiedliwości i krzywdy, a pod ciemno-szarym tramwajowym mundurem huścić będą burze buntu i odczutej zniewagi?

Tak, czytelnicy, chciałem wam przypomnieć, o czym się zapomina często, gdy wrący prąd życia rzuca was w pobliże tego tramwajowego szynela, nie zapomnijcie w rozgwarze swych osobistych interesów i myśli, że obok was stoi nie robotnik-automat, lecz żywy, czujący człowiek, który z takim wewnętrznym bólem reaguje na częste aż nazbyt wypadki nieposzanowania jego godności i pracy.



Z odmętów niedoli.

Uciekając z zesłania kilkadziesiąt wiorst piechotą, znużony, głodny i wyczerpany, zdecydowałem się wstąpić do kozackiej wioski, ażeby się posilić, kupić trochę produktów i ruszyć w dalszą drogę.

Aczkolwiek przebrany byłem za kozaka i zewnątrz nie wiele się różniłem od tuziemców, to jednak po akcencie mogłem być poznany i z powodu braku dokumentów odesłany powtórnie do miejsca mego zesłania. Wstąpiłem więc do pierwszej stojącej na skraju wsi chaty. Domek był schludny, a firanki w oknach znamięnowały pewną kulturę.

— Zdrastwujcie.

— Zdrastwujcie.

Kobieta, którą zastałem w chacie z dwojgiem drobnych dzieci, była piękna w całym znaczeniu tego słowa. Zgrabne kształty, cera biała, wielkie smutne czarne oczy, malinowe usteczka, włosy bujne, wskazywały, że to nie Kozaczka, ani Rosjanka.

Na dzieciach odbijała się wyraźnie mieszanina typów, wydatnych kości policzkowych ani śladu. Pызate buzie i bystro latające oczęta różniły je tylko od naszych dzieci.

Zachwycony niezwykłą urodą gospodyni, zapomniałem na chwilę o celu mego przybycia.

Dopiero na kilkakrotne zapytanie: „Czto Wam ugodno?“ poprosiłem o sprzedanie mi chleba, sera i masła.

— Wy kazak? — zapytała z niedowierzaniem.

— Toczno tak — odpowiedziałem bez zająknięcia.

Zamilkła i rozpoczęła przygotowanie żądanych przezemnie produktów, przenikliwie spoglądając na mnie co chwila.

Wtem otworzyły się gwałtownie drzwi, i pędem prawie wbiegli do izby ze strzelbą na ramieniu młody Kozak.

— Kto ty takoj? — zapytał mnie szorstko.

— Kazak.

— Wrjosz. Ty Paljak, chatiel moju Nataszeńku zabrat' — krzyczał podniecony.

— Nie znaju nikakoj Nataszy — odrzekłem.

Kozak wściekał się formalnie: co napotkał pod ręką, rzucał z wściekłością o ziemię. Sytuacja stawała się coraz bardziej naprężoną. Gospodyni wybuchnęła spazmatycznym płaczem, wykrzykując najczystsza polszczyzną:

— Boże, mój Boże, co za straszne życie.

Na Kozaka płacz ten wywołał piorunujące wrażenie. Runął jak długi do jej stóp i całując ją po nogach, płakał i wył formalnie.

Stałem przerażony i zdumiony zarazem tą niespodziewaną i niezrozumiałą dla mnie sceną.

— Nataszeńka zalataja, skazi prawdu, kto etoj czelawiek i biej mienia za oskorblenie w m... Ja swolocz, podlec, s... syn.

Kiedy się uspokoiła, zaczął ją całować dziko i namiętnie, powtarzając w kółko:

— Nie pomni. Izwini.

Po uciszeniu się burzy domowej tłumaczył się udobruchany Kozak, że przypuszczał, że jestem przysłany ją wykraść i gdyby się nie był pohamował, to nie wie, coby się zemna stało.

— Nie kłam — rzekł do mnie — żeś Kozak, poznałem w pierwszej chwili, żeś Polak i zeslaniec.

Nie przeczyłem temu już zupełnie.

Na stole znalazły się różne świąteczne potrawy, wódka i mięsiwo.

Siergiej Waljakin, gospodarz domu, opowiadał z zachwytem, jak w 1905 roku przybyła z konwojem, ażeby odbywać pięcioletnie zesłanie, obecna żona jego, Natasza. Na wyścigi dawała jej we wsi mieszkanie, bo szyla dosyć dobrze, urodą i dobrocią oczarowała wszystkich, a najbardziej Siergieja. Zamieszkała u ojca jego, który po śmierci matki, zalecając się do niej natarczywie, nie dawał jej chwili spokoju.

Niejednokrotnie wybuchały o nią na tym tle bójk. Aż narazcie przysiął sobie Siergiej, że choćby mu trupem paść przyszło, dumną Polkę zdobędzie. Napadł ją raz powracając z lasu i stało się to, co się stać musiało. Bez przytomności, w podartem w strzępy odzieniu przyniósł ją na rękach do domu. Popadła w ciężką chorobę, gorączkowała, a potem opanowało ją jakieś dziwne odrętwienie.

Leżał jak pies przy jej łóżku, pielegnował ją, jak mógł najlepiej, a po wyzdrowieniu zawiózł do cerkwi i wziął ślub.

Wybudował sobie najładniejszą we wsi chatę, handluje koźmi, skórami. Zaspakaja jej wszystkie życzenia, zazdrosny jest o nią do szaleństwa, a pomimo to „Natasza“ zawsze smutna i smutna.

Rozwiązały się języki.

Natalja z Loszkowskich Waljakinowa po raz pierwszy po dwóch latach miała sposobność wypowiedzieć się w języku ojczystym.

Potwierdziła z boleścią to, co opowiadał jej mąż:

„Ano, cóż? jestem wbrew mojej woli branką moskiewską“, rzekła z goryczą.

Pochodziła z Łodzi. Pracowała w jednej z fabryk łódzkich w charakterze biuralistki. Skończyła gimnazjum. Zaareztowana jako „techniczka P. P. S.“ za przenoszenie bibuły, skazana została na osiedlenie w Orenburskiej gubernji. Życie jej wśród ludzi na pół dzikich i nieokrzyszanych było straszne. Inne towarzyski niedoli spotkał los podobny. Nie wszystkie jednak wyszły za mąż, większość z nędzy poszła na bezdroża... Wiele ko-

czyło samobójstwem. Od rodziny, mieszkającej w Łodzi, nie otrzymała żadnej wiadomości. Zresztą — rzekła z rezygnacją — każda kobieta, wysłana na osiedlenie, skazana jest na zagładę...

Gospodarz domu, widząc żonę ożywioną i w humorze, szalał z radości. Pod wpływem „stołowej“ „razmachalsia“, jak mówią Moskale.

Tańczył kozaka, śpiewał, wykrzykiwał głośno, lub całował dziko z zapamiętaniem „złotuju Nataszeńku“.

Gospościa uśmiechała się zlekka i hamowała co chwila dość energicznie jego czułości. Miałem wrażenie, że Siergiej Waljakin jest człowiekiem nawskroś szczerym, otwartym, lecz gwałtownym i nieokielznanym.

Na usilne naleganie gospodarza pozostałem na noc. Gospodarz runął na tapczan i chrapał, aż się chałupa trzęsła. Rankiem zaprzęgnął trójkę, napelniono mi walizkę i plecak produktami, przysmakami, sporządzonemi przez gospozię, a kozak, wręczając mi swój paszport (na imię Siergieja Waljakina) oświadczył:

— Ja jak zgubię, to dostanę w gminie choć z dziesięć paszportów, a ty bez tej drobnostki możesz znów dostać się do więzienia.

— A jak mnie złapią z paszportem? — zapytałem.

— To powiem, że go w Czelabińsku zgubiłem — odrzekł. Służący, Tatar, miał mnie odwieźć trójką do odległej o kilkadziesiąt wiorst stacji kolejowej. Gospościa, ze łzami w oczach, zaklinała mnie na wszystko, ażeby po przybyciu do Łodzi udzielić jej wiadomości o rodzinie.

Przyrzekłem uroczyście.

Czego to nawet Kozak nie zrobi dla kobiety? — pomyślałem. Zdradzi cara, naczałstwo, a gdyby nawet zechciała, zostanie terrorystą-rewolucjonistą. Obserwując gospođynię, miałem wrażenie, że albo umrze przedwcześnie z tęsknoty za swoimi, bo ucieczka była dla niej wyłączona, lub też z konieczności musi pogodzić się z losem. Widocznie obcowanie z ziomkiem obu-

dziło w niej przykre wspomnienie, bo na pożegnanie, ściskając mi kurczowo rękę, oświadczyła:

Nie wiążą mnie węzły, wymuszone gwałtem i brutalnością.

Cała gama wrażeń i wzruszeń przenikała całą moją istotę, kiedy przy odgłosie dzwonek, pędem sunącej po stepie trójki, opuściłem chatę Siergieja i Natalji Waljakinów.

— Biedna Polka — pomyślałem — stracona dla kraju na zawsze.

A ile to tysięcy dziewczątek polskich zginęło bezpowrotnie w sposób haniebny, rzuconych na pastwę losu w dalekim Sybirze.

Kroniki milczą o tem...

Kobieta z sercem, odczuwająca cały ogrom swojej niedoli, „branka kozacka“ — to straszne...

Wiatr stepowy muskał mnie po rozpalonej twarzy, a usta powtarzały z ulgą nieśmiertelną pieśń Mickiewicza:

„Zemsta, zemsta na wroga z Bogiem, a choćby mimo Boga“.

Po powrocie do Łodzi, pomimo, że zewsząd groziło mi niebezpieczeństwo, na zasadzie zebranych informacji, napisałem do rodaczki, pozostającej na stepach, list ze smutną wiadomością o śmierci matki, o bracie techniku, który się rozpił na dobre. Na każde święta Bożego Narodzenia posyłałem jej zawsze list z życzeniami i opłatek....

Wiadomości, jakie otrzymała za moim pośrednictwem o rodzinie, wpłynęły widocznie znacznie na jej usposobienie, bo w dwa lata później we Francji otrzymałem od niej list następującej treści:

„Mosty za mną spalone. Nie mam już do kogo wracać. Jesteś pan dla mnie jedynym bratnim duchem, co łączy mnie ze swoimi. Przywiązuję się coraz silniej do swych dzieci, chociaż w całej wsi robią zarzuty mężowi, że pozwala na ich „opoleczenie“.

Dzieci ze mną rozmawiają po polsku. Moskiewek unikam, budzą one we mnie wstręt swoim wyuzdaniem. Mąż pod moim wpływem przestał pić i staje się coraz bardziej kulturalnym. Uczę go po polsku.

Przyrzekła mi, że jak się dorobi na handlu koźmi, to się na stałe przeniesie do Warszawy. Marzy o kupiectwie i hurtowni skór.

Proszę pisywać częściej i pamiętać o nieszczęśliwej rodaczce na dalekich stepach, dla której listy Pana są jedyną strażą duchową.

To był ostatni, otrzymany od niej list.

Z powodu częstej zmiany miejsca mego zamieszkania (Paryż, Marsylja, Nancy, Zurych, Monachjum), listy jej widocznie nie dochodziły do miejsca przeznaczenia.

Wybuchła wojna, która ostatecznie przerwała nić, łączącą mnie ze wschodem.



Z kart chlubnej przeszłości.

Przeglądając karty naszej historii porozbiorowej, jak również dzieje spisków, powstań i ruchów rewolucyjnych w Europie, widzimy, że wszędzie tam niecią srebrną przewija się za-szczytnie imię Polaka...

Historja przewrotów we Francji, rok 1830 — 48, a szczególnie dzieje Komuny Paryskiej w r. 1871 zawierają wielką ilość nazwisk polskich. Wodzem wojsk Komuny był Dąbrowski. emigranci polscy, ci Bajardzi rewolucji, bez trwogi i zmayı, wygnani z kraju przemocą najeźdźców, krwią własną ratowali honor polskiej demokracji wobec świata. Walka o niepodległość Belgji w roku 1830 odbywa się przy pomocy emigrantów polskich.

W szeregach tak zwanych „czerwonych djabłów“ Garibaldi-go we Włoszech, walczą jak lwy polscy tułacze...

W Palatynacie i Badenji w r. 1848, wodzem powstania, skierowanego przeciw hegemonji Prus, był nasz nieśmiertelny, rewolucjonista, „wódz czerwonych“, z czasów ostatniego powstania r. 1863, Mierosławski...

W spiskach przeciw caratowi zawsze wybitny udział brałi Polacy rewolucjoniści...

Wyzwalające się państwa bałkańskie korzystały również z pomocy polskich wolontarjuszy.

Krew polska zraszała skwarne piaski Egiptu i Marokka. Użyźniała ziemie Południowej i północnej Ameryki, wsiąkała

w śniegi sybirskie podczas zbrojnej rebelji polskiej w Krasnojarsku...

Tam, gdzie o wolność walczone, gdzie realizowały się hasła ogólnoludzkie i niepodległościowe, gdzie burzono trony i przywileje, tam zjawiał się zawsze jak z pod ziemi Polak-rewolucjonista...

Mścił się za rozbiór Polski, za pohańbienie ludu...

Upiorem złowróżbnym był dla królów i możnych tego świata, sprzymierzeńcem wiernym i niezłomnym dla tych wszystkich, którzy w jarzmie chadzać nie chcieli, a zrywali łańcuchy niewoli narodowej i społecznej...

Precz z tytułami Książę i Pan.

Zetrzemy ślady haniebnych łań.

Jeden Bóg, wiara i stan.

I jedno miano bliźni i brat.

Hymn ten, napisany przez Mierosławskiego, a przełożony na języki: włoski, francuski i niemiecki, powtarzały z entuzjazmem podczas boju wyzwajające się ludy.

Polak, w pojęciach tych ludów, był wcieleniem wolności, poświęcenia i ofiarności nadludzkiej.

Przeciw „czerwonym“ skupiała się od czasów Kościuszki zawsze cała zablokowana reakcja.

„Nowinki Jakobińskie“ przerożały zawsze warstwy uprzywilejowane. „Czerwonym“ był każdy, kto wnosil myśli nowe i świeży powiew w zatęchłą ugoda z najeźdźcami atmosferę...

Przerzucając kartki i ulotki, wydawane ongi przez pracowników Kościuszką, konfederatów Barskich, Kollataja, Mierosławskiego, odnosi się wrażenie, że to argumenty i słowa, przeniesione żywcem z dzisiejszych pism konserwatywnych. W krajach Zachodniej Europy, spotykając nieraz pamiątki polskie, czulem się dumnym, że jestem Polakiem i rewolucjonistą. Z pozostałych kartek, zachowanych w muzeach Francji, Włoch lub Niemiec, wyglądały zawsze orle i rogate dusze tych, którzy nie umieli pełzać po ziemi...

W 1911 roku, po ucieczce z Syberji, znalazłem się w Mannheimie (Badenia w Niemczech). Otrzymałem pracę w jednej z tamtejszych fabryk i jako pracownik metalurgiczny, wstąpiłem do niemieckich związków zawodowych, do których należeli wszyscy robotnicy tej fabryki. Sekcja oświatowa niemieckiej partji socjalno-demokratycznej urządziła w każdą niedzielę wycieczkę krajoznawczą, na której profesorowie-socjaliści wyjaśniali właściwości geologiczne gleby, znaczenie pamiątek historycznych i t. p.

Jednej niedzieli mieliśmy szczegółowo zwiedzić Muzeum Historyczne w Mannheimie. Odczyt miał wygłosić dr. Frank, poseł socjalistyczny do parlamentu. Na wszelkie odczyty uczęszczałem skwapliwie, więc i tym razem skorzystałem ze sposobności, ażeby usłyszeć coś interesującego.

W Muzeum znajdowały się bogate zbiory, ilustrujące rozwój i historję Niemiec. Z niemiecką systematycznością i drobiazgowością zgromadzono wszystkie te pamiątki, które mogły świadczyć o przeszłości tego kraju.

Znudzony suchym wykładem, udałem się do przyległych pokoi muzealnych, ażeby, stosownie do informacji, zawartych w katalogu, zobaczyć interesujące mnie dokumenty z r. 1848, dotyczące się powstania południowych Niemiec przeciw Prusakom. Na pierwszym miejscu zwrócił moją uwagę postrzępiony sztandar, na jednej stronie widniał orzeł, a na drugiej herb Badenji. W szafkach za szkłem znajdowały się liczne odezwy rewolucyjne powstańców Badeńskich.

Przeglądając pamiątki dość skupulatnie, pomiędzy innemi zauważyłem odezwę-plakat w języku niemieckim, wzywającą obywateli Badenji i Palatynatu do walki o wolność i niepodległość. Odezwa kończyła się okrzykiem: „Niech żyje Rewolucja!“ „Śmierć Prusakom!“ pod odezwą podpisy:

„Dyktator Mierosławski, Pułkownik Oborski“.

Z czcią i wzruszeniem wpatrywałem się, jak zahypnotyzowany, w ten drogocenny dokument...

Z pozostałych od starości odezw, ulotek, rozkazów dziennych do powstańców, pisanych ręką Mierosławskiego, przemawiał do mnie z mocą i siłą nieśmiertelny „duch — rewolucjonista“...

Plomienne wezwanie smagało słowami ostremi, jak biczem, przywileje pomazańców „z Bożej łaski“.

„Idzie czas pomsty ludu... zbliża się era jego wyzwolenia. Korony strącone z łbów cesarskich i królewskich toczą się po brukach miast“.

„Obywatele! do walki orężnej przeciw tyranom!

„Co złe, rozsypać się musi w proch i pył!“

Historja się powtarza — pomyślałem. — Wszak to, jakby styl odezwy pepeesowej przemawia do mnie z przed pół wieku...

Z czcią i wzruszeniem wpatrywałem się w te pamiątki, a z głębi ducha jak modlitwę powtarzałem w skupieniu i ciszy, słowa hołdu dla ducha „czerwonego Jakóbina“, który był poprzednikiem naszych ideałów...



O zmroku.

„Powierka“ skończona... Cele zamknięte na żelazne sztaby, poprzez kraty więzienne widać czerwone zachodzące słońce. Gwar setek głosów odbijający się echem o mury więzienne czyni na słuchacza wrażenie brzęczącego i rojnego ula... Dziwny bezwład i apatia obejmując człowieka; myśli i wspomnienia lecą do przeszłości szczęśliwej, jasnej, przepojonej radością i swobodą.

W takich chwilach zwykle zwierzenia cisną się na usta a opowiadania zaczerpnięte z życia uprzyjemniają czas słuchającym, odrywając uwagę od smutnej rzeczywistości...

Jeden z więźniów politycznych ob. Milek, młodzieniaszek porywczy i egzaltowany, aresztowany za należenie do organizacji młodzieży niepodległościowej, usiadł na uboczu, wydobył z kieszeni fotografię swej narzeczonej i, wpatrując się z błogością w śliczną twarzyczkę, gładził swój wąsik z zadowoleniem.

— Zazdroścę wam waszej wiary i naiwności! — rzekł tow. Kord; przerywając mu kontemplację.

— Dlaczego? — zapytał porywco ob. Milek.

— Przeżyjcie tyle co ja, poznajcie przewrotność kobiecą i właściwości jej płochego i niestalego charakteru a z równym sceptycyzmem odnosicie się będziecie do rzekomych „aniołów ziemi“.

— Przesądzacie — odrzekł urażony Milek.

— A więc posłuchajcie genezy mego sceptycyzmu a przekonacie się, czy warto szybować lotem Ikarusa na to, ażeby po

pewnym czasie boleśnie spaść na ziemię. Zastrzegam się — podkreśliłem, że jestem pomimo to zwolennikiem równouprawnienia kobiet i chciałbym kobietę widzieć równą mi pod względem woli i uczuć istotę. Tylko, niestety, chyba nowy ustroj i przyszłe czasy stworzą nowy typ kobiety, dziś bez względu na warstwę i stopień wykształcenia są one z małymi wyjątkami takimi, jakimi stworzyły je warunki, tradycja i oboczenie.

Wiecie, że od lat młodzieńczych poświęciłem się służbie idei, nie wiedziałem co znaczą płasy, śpiewy, spacer z ukochaną o zachodzie słońca, listy i sielanki romantyczne. Groza katorgi lub stryczka za czynną działalność partyjną, grożąca mi na każdym kroku, wypłoszyła ze mnie wszelką myśl swobodną i chęć do zabaw. Jako nakaz i święty obowiązek brzmiały mi zawsze w uszach słowa poety Romanowskiego:

„Co tam marzyć o kochaniu, o bogdanie i róż rwaniu, dla nas niema róż“.

Bo wtedy, kiedy najserdeczniejsi druhowie ginęli na szubienicach, kiedy więzienia były pełne aresztowanych, a z katorżni carskich dolatywał jęk torturowanych, nie mogło być mowy o innem pojmowaniu sprawy.

Nareszcie i ja dostałem się do więzienia, stamtąd na Sybir, a potem ucieczka i długie lata tułaczki na obczyźnie. Nie raz podczas wycieczki lub przechadzki zagranicą widziałem przytulone do siebie miłośnię pary, zazdrościłem im tego szczęścia i spokoju, ja tułacz bezdomny i banita...

Po długim czasie, mając lat 28, wróciłem do kraju, otrzymałem pracę i wtedy całą duszą zapragnąłem tak, jak inni, „filistrami“ przezemnie zwani, stworzyć kąt własny i ognisko rodzinne. Na drodze życiowej spotkałem dziewczę sielskie, skromne i zdawało mi się, że w oczach, postaci i zachowaniu jej znalazłem nareszcie swoją wybrankę. Wychowana na wsł — pomyślałem — uchroniła się od wpływów i bagna wielkomięjskiego.

Dziewczę odwzajemniało mi się również i w odpowiedzi przesyłało mi pachnące liściki, pełne tęsknoty, przywiązania i miłości. Pobraliśmy się... Pierwsze, tak zwane miodowe miesiące, minęły bez chmurki, potem moja „sielska“ małżonka zaczęła na gwałt (pod względem zewnętrznym) naśladować wielkie panie, pożądać zabaw i różności. Jedyne jej pragnieniem było, ażeby nie mieć dzieci, gdy tymczasem ja pragnąłem ich bardzo. W poszukiwaniu zabaw i urozmaiceń znalazła nareszcie kogoś, kto podczas mojej nieobecności umiał jej chwile. I tutaj cały spryt kobiecy wysiłała na to, ażeby uspić moją czujność i brnąć dalej. Ja nie spodziewałem się niczego, bo naiwny wierzyłem, aż nareszcie spadł grom. Skandaliku, w który było więcej wtajemniczonych, ukryć było nie sposób. Nastąpiły, jak zwykle w takich razach, zdemaskowania, szloch, płacz i rozbrat nazawsze...

W kilka miesięcy potem zadenuncjowano mnie do władz żandarmskich, że jestem socjalistą i uczestnikiem zamachu. Na skutek tego „donosu“ aresztowano mnie i pomimo zaprzeczeń świadków, trzymają mnie dotychczas w więzieniu. Chciałem przedtem uzyskać rozwód, lecz dano mi tylko separację. W myśl strupieszalego, niezgodnego z życiem dogmatu, tej nałożonej obrozy, pomimo wiarołomstwa, zerwać nie można, chyba, że jedno z dwojga popełni skrytobójczo morderstwo, lub sypnie grubo „na koszt“ rozwodowe pieniądze.

Dlatego też moja była małżonka nie mając nadziei na rychłą i nagłą śmierć moją, przypuszczała, że więzienie carskie przyspieszy kres mego życia i da jej upragnioną wolność.

I jeżeli teraz czytam w pismach, że dokonano na podobnym podłożu przestępstwa morderstwa, to gdybym miał władzę, nie sadzałbym na ławie oskarżonych tych nieszczęśliwych sprawców, ale tych, którzy regulują średniowiecznymi dogmatami życie ludzkie.

Dziś każdemu z was ktoś do więzienia przynosi obiad lub kwiaty, macie na wolności tych, którzy wam współczuć pomagają i upraszają. Ja, jak widzicie, całe życie muszę pokutować za kiepski i nieszczęśliwy wybór towarzyszy życia — zakończył z goryczą swoje opowiadanie.

Sluchacze pokiwali smutnie głowami, niejednemu przypomniano się podobne być może zawody. Ob. Milek, wzruszony tem opowiadaniem, zbliżył się szybko do tow. Korda i, ścisnąc jego dłoń, wyrzekł z przejęciem:

— Wierzę i współczuję wam, bracie, i miejmy nadzieję, że przyszła Polska niepodległa położy kres tym rozpaczliwym stosunkom i przez rozumne prawodawstwo rozwiąże kwestję rozwodów, które pozwolą wam tow. Kordzie być również szczęśliwym.

— Amen — odrzekł z ironją i niedowierzaniem tow. Kord.



W siedzibie cara.

Wśród cudownej okolicy, otoczonej lasami, przetrźniętej srebrną wstęgą Pilicy, w zielonej dolinie, jakby wymarzonej na miejsce ciszy i ukojenia, leży urocza Spała... Dawniej dla bezpieczeństwa przebywającego tu cara, wraz z rodziną, konsygnowano zwykle w okolicy dwa pułki piechoty, a w samym pałacu spalskim dwa szwadrony Czerkiesów, pełniło służbę straży przybocznej.

Stu szpicli, odznaczonych za wierną służbę, tworzyło oddział tak zwanej „kontrazwiedki“. Poprzebierani za chłopów, żołnierzy lub oficerów, nadstawiali wszędzie ucha, węsząc, czy pomimo środków bezpieczeństwa, nie znajduje się czasem w otoczeniu cara ktoś nieprawomyślny.

Służba pałacowa rekrutowała się z byłych „ochrانشczyków“, sprowadzonych z Rosji. Jedynym Polakiem w pałacu był kamer-łokaj Głowacki.

Dawniej tu napełniano lasy umyślnie hodowaną do polowań zwierzyną, zagajniki pełne ptactwa, kuropatw i słynnych bażantów.

Drakońskie kary nakładano na włóścian za tępienie zwierzyny, sprawiały, że jelenie, sarny, pasady się swobodnie z bydłem na łąkach.

**

Wybuchła wojna europejska. Słora carska z bólem serca opróżnić musiała te śliczności, istny raj na ziemi.

W charakterze zwycięzców wkroczyli do płonącej Spaly Niemcy. Spalił się wtedy pałacyk myśliwski margrabiego Wielopolskiego. W pierwszym roku Niemcy skradli i wywieźli kosztowne dywany perskie, potem kolej przyszła na mosiężne zamki i klamki, aż nareszcie chciwość prusko-monarchiczna zatrzymała się u wrót sypialni, gdzie znajdowały się dwa wygodnie złożone mosiężne łóżka carskiej pary.

Wobec zawilego problemu, Niemcy zwrócili się wtedy do kajzera Wilhelma, co czynić? Otrzymali odpowiedź: „że majestat cesarski, nawet nieprzyjacielskiego panującego, nie pozwala na podobne świętokradztwa i wobec tych pamiątek rozkazuje zachowywać się wojskowym z należytą czią i szacunkiem“. („Mit grösster Hochachtung“, dosłownie). Łóżka ocalały... Tradycji monarchicznej stało się zadość, a każdy oficer pruski, wchodząc do carskiej sypialni, stawał na baczność... Złośliwi twierdzą, że częściej oddawano szafce nocnej, w której mieściło się pewne naczynie.

Korzystając ze sposobności, że w interesie miasta znajdowałem się w lasach spalskich, udałem się do pałacu, ażeby zwiedzić miejscowość, o której opowiadano wiele...

Budynki pałacowe myśliwskie z werandą, bez ozdób, skromnie otoczone krzakami tuji, czynią na widzu wrażenie miłe. Mieszkania dla służby, leśnictwa, elektrownia, wodociąg, najnowsze urządzenia techniczne, stawy, sztuczne parowy, doliny, place do gier sportowych, zajmują dość znaczną przestrzeń.

Wewnątrz w pałacu urządzenia, przypominające raczej hotel, aniżeli pałac. Małe pokoiki wielkoksiażące, tchną spartańską wprost skromnością.

Sala przyjęć o skromnych meblach z staroświeckimi kominkami, u góry kandelabry elektryczne, zbudowane z rogów żubrów i jeleni, wyglądają oryginalnie i interesująco.

Na ścianach mnóstwo rogów z upolowanych przez cara wielkoksiażat jeleni z nazwiskami myśliwych na tabliczkach.

Z polskich nazwisk widnieje jeden napis: Margrabia Wielopolski, znany słuźalec Mikołaja.

Zwiedzając pokoje carskie, zastanawiałem się nad zmiennymi kolejami losu... Przed dwunastu laty z rozkazu ongi wszechwładnego cara, pędzono mnie w kajdanach na Sybir... Dziś potęga cara rozsypała się w proch; za popełnione nad ludem polskim i rosyjskim zbrodnie, dotknęła go ręka sprawiedliwości dziejowej.

Ktoby przypuszczał przed kilku laty — pomyślałem — że „buntowszczyk“ zwiedzać będzie pałac carski i rozmyślać nad nicością potęgi, opartej na gwałcie i przemocy...

**

Spała znajduje się obecnie pod zarządem Ministerjum Rolnictwa i Dóbr Państwowych, hipotecznie jednak jest jeszcze osobistą własnością cara.

Oprowadzał mnie po pałacu dawny kamer-lokaj carski, Polak Głowacki. Ażeby się dowiedzieć szczegółów pałacowych, rozpocząłem z nim rozmowę, odpowiadał dość chętnie na zadawane przezemnie pytania.

— Paniel Cysorz to był dusza człowiek, honorny był bardzo. Jak się upił, to położył się byle gdzie i spał... Czasem dwór się bawił, a on pisał i pisał w swoim gabinecie. Po polsku nie umiał wcale. Cysarzowa z córkami mówili ze sobą po francusku i niemiecku. Po rusku mówiła tak jak kuzdyn miemieć, śmiesznie. Służy 30 lat już... Oj miałem ją ci dobrze!... 35 rubli miesięcznie, wszelkie wygody, a jak cysarstwo byli, to 100 rubli za każdą razą dostolem i podarunek: zygarek, pierścionek albo inne. A dzieci moje są klasowe. Mają szkołę, bawiły się z córkami cesarskiemi!

A ile to na piwo dostało się od świty, jenerałów i wielko-książąt, były to czasy... czasy — westchnął Głowacki.

A mówił do was kto w pałacu po polsku — zapytałem.

— A juści! Pan margrabia Wielopolski. Nie wstydzil się, tylko godol przy wszystkich, chociaż za to wyśmiwali się z niego.

Roz cysorz zawołał mnie do siebie i pyto się: „Wy nazwajeties Głowacki?“ — „Toczno tak Wasze Wielicestwo“ — odpowiedziałem. Popatrzył na mnie, poklepał po ramieniu i som nie wiem, co chciał odemnie — rzekł zadumany.

— A ja wam powiem, dlaczego się was pytał...

Bartosz Głowacki, chłop ze wsi Rzędowic w 1794 roku 4 kwietnia, podczas powstania Kościuszki, zgromił strasznie Moskali pod Raclawicami. Zdobył armaty moskiewskie, za co Kościuszko mianował go wtedy oficerem polskim. Carowi widocznie przypomniało się jego nazwisko i pomyślał, że jesteście może krewniakiem tego „buntowszczyka“, co krew przelewał za Polskę...

— A może być — powtarzał wzruszony stary. — Jo jestem z Radomskiego, a dziadek był z pod Krakowa...



Na granicy.

Z tęsknoty za rodziną i swoimi zdecydowałem się w wrześniu 1918 roku przybyć konspiracyjnie z Radomia do Łodzi.

Listy gończe niemieckiej połowej policji wraz z fotografią i wyrokiem sądu wojennego na mnie (jak wykazują dokumenty znalezione po wypędzeniu Niemców w Prezydjum Policji w Łodzi) były rozesłane do wszystkich posterunków policyjnych w okupacji niemieckiej.

Wierzyłem jednak, że nic złego mi się nie stanie, a z wszelkich opresji wyratuje mnie, jak zwykle, szczęśliwy przypadek. Zresztą miałem przyjaciela, niezawodzącego nigdy, nawet w najgorszej sytuacji — „bronka“ i kilka zapasowych magazynów naboji.

Dla zmiana powierzchni powierzchni zapuściłem brodę, a paszportu dostarczono mi z Wydziału Paszportowego P. P. S. na imię Gotlieba Sperlinga.

Z Radomia przez Białobrzegi dostałem się szczęśliwie do Łodzi.

Z powrotem, jak zwykle, szwarcowałem się na Piotrków.

Kolejką dojazdową dojechałem do Tuszyńska, a stamtąd ruszyłem piechotą w stronę Piotrkowa.

W drodze dość szczęśliwie miałem posterunki policyjne i wojskowe.

Pas graniczny okupacji austro - niemieckiej miałem zamiar przejść lasem Dłubowskim.

W lesie niemieckie posterunki wojskowe rozmieszczane były na specjalnie zbudowanych dla celów obserwacyjnych wieżach z pali sosnowych. Wyszedłem na wzgórze i bacznie przyglądałem się, czy w okolicy nie widać czego podejrzanego, lecz oisza uroczysta, milczący las Rydzynski usuwał wszelkie obawy. Idąc szybko, zbliżyłem się do granicy okupacji niemieckiej.

Ze wzgórza widać było po drugiej stronie posterunki austriackie. Ucieszyłem się, bo w okupacji austriackiej wystarczył niemiecki paszport, ażeby uchodzić za legalnego obywatela.

Wyszedłem na polankę uradowany, że szwarcowanie tak mi gładko poszło, gdy w tem rozległo się gwałtowne ujadanie psa i wołanie żołdaka pruskiego z lasu.

— Halt Verfluchter! ¹⁾.

— O, do diaska! — pomyślałem — sprawdza się przysłowie polskie. „Nie mów, hop, dopóki nie przeskoczysz“.

Po chwili duży pies wypadł z lasu i ujadając rzucił się do mych łydek.

Kijem opędziłem się gwałtownie od psiej natarczywości. W pierwszej chwili chciałem „bronkiem“ uspokoić psa, lecz nie znając sił „nieprzyjaciela“, zdecydowałem się wstrzymać od wszelkiej akcji.

Z lasu wychyliła się najpierw pikelhauba, a potem spasiony prusak z karabinem w rękach, gotowym do strzału. Czy tylko jeden, przemknęło mi trwożliwie przez myśl, lecz na szczęście, nikt więcej nie wychodził z lasu.

— Wo gehen Sie? ²⁾ — zapytał.

W kieszeni spuściłem bezpiecznik browninga, zdawało mi się, że bez sprzątnięcia prusaka się nie obędzie.

Prusak zmierzył mnie ślepiami od stóp do głowy, a widząc, że jestem bez szmuglu, również powierzchowność moja nie szbudzała w nim podejrzenia, założył karabin na ramię i nie spuszczał ze mnie oka wrzasnął.

— Grenzschein! *)

Zamiast odpowiedzi wsadziłem do paszportu (wedle stosowanej z urzędnikami okupacyjnymi praktyki) 20 marek i podałem Niemcowi.

Jeżeli weźmie łapówkę — pomyślałem — to uratuje sobie życie, a jeżeli nie, to przyplaci śmiercią swoją gorliwość.

Zaczynałem się coraz bardziej niecierpliwić, ręka świeżbiała mnie jak nigdy, lecz licząc na to, że strzał mógłby zaalarmować inne posterunki, pragnąłem wyczerpać wszelkie środki pokojowe. Niemiec spojrział na mnie z podelba, wyjął najspokojniej z paszportu 20 marek i oddał mi go z powrotem, oświadczając:

— Danke. Gehen Sie ruhig vorwärts!

Aaa... — wykrzyknął — Gottlieb Sperling, da Sie sind ja ein echter Deutsche *)

Spojrzałem na Niemca, kiwnąłem głową potakująco i mimowoli uśmiechnąłem się z mojej niemieczyny.

W ciągu tych kilku minut ważyły się na tej polance losy życia i śmierci.

Opasły Prusak, jako symbol najazdu, korupcji, przekupstwa i brutalności, spełniał niezaszczytnie swój obowiązek wobec „Vaterlandu“.

— Masz drabie szczęście — rzekłem mu na pożegnanie półgłosem. Niemiec w odpowiedzi udobruchany, nie rozumiejąc języka polskiego, odparł pośpiesznie.

— Auf Wiedersehen! Auf Wiedersehen! *)

*) Stój przeklęty. *) Gdzie idziecie. *) Przepustka graniczna.
*) Dziękuję, idź pan spokojnie naprzód. A to pan jest prawdziwym Niemcem. *) Do widzenia.

Wieczór wigilijny pod strażą szpicli pruskich.

W życiu konspiratorów politycznych zdarzały się nieraz tak tragicomiczne sytuacje, że dziś po kilku latach wydają się wprost nieprawdopodobne.

Zwykle szpicel carski, austriacki, lub pruski stał niżej od każdego rewolucjonisty, bo nie posiadał zupełnie samodzielności i inicjatywy.

Szpicel carski był mistrzem w nawiązywaniu stosunków z różnymi prowokatorami politycznymi, od których dowiadywał się o tajemnicach organizacji, bez tych wskazówek był, jak mawiali Moskale: „krugom durak“. Szpicel pruski, ze względu na doskonałą tresurę policyjną, był idealnym wykonawcą poleceń swoich przełożonych, robił tylko to, co mu kazano, lecz bez „Befehlu“ baraniał zupełnie.

Szpicel austriacki należał do rzędu najbardziej tępych i ograniczonych. Aresztował zwykle ludzi najniewinniejszych, których potem jego przełożeni przeproszać musieli. Wykazywał w sprawach politycznych takie krańcowe nieuctwo, że na okupacji austriackiej w Królestwie utarło się przysłowie: „Głupi jak agent C. i K.“

Znając te właściwości naszych wrogów udawało nam się niejednokrotnie unikać zastawianych na nas sieci.

Po szczęśliwej ucieczce landsturmistom w drodze do więzienia w Łodzi Niemcy rozpoczęli za mną gorączkowe poszuki-

wania. Zaraz następnego dnia przybyli do mego mieszkania, splądrowali je gruntownie i zaglądając do szaf i pod łóżka, pytali się naiwnie żony: „Niech pani powie, gdzie on się tutaj schował“. Odtąd przed domem, w którym mieszkałem (Radwańska 37), w ciągu miesiąca szpicle gorliwie stróżowali na zmianę, przyglądając się badawczo przechodzącym.

Z mojej chwilowej kryjówki wysyłałem kilkakrotnie sprytnego chłopca, syna jednego z towarzyszy, który mi w szczegółach komunikował rysopis spacerujących przed domem szpicli.

Wieczorem zwykle Niemiec stawał w sąsiedniej bramie i bacznie obserwował wchodzących i wychodzących.

Kilkakrotnie zatrzymywano mieszkańców tego domu i za każdym razem żądano od nich okazania legitymacji. Mieszkało tam zaledwie sześć rodzin, co umożliwiało Niemcom dość ścisłą kontrolę.

W wigilję Bożego Narodzenia, siedząc beczynnie w kryjówce u tow. Kiermasa na Widzewie, ogarniał mnie jakiś dziwny niepokój. Krzątanie się kobiet około wieczerzy, choinka i nastroj uroczysty wszystko to drażniło mnie i usposabiało ponuro. Myśl, ażeby choć na chwilkę zajrzeć do rodziny, nie dawała mi spokoju.

Pomimo napomnień towarzysza K., zdecydowałem się o zmierzchu urządzić wyprawę do domu.

Podwórze domu strzeżonego przez Niemców przylegało do parku miejskiego, postanowiłem więc skorzystać z tej drogi i spłatać szpiclom figła.

Ulica Pańska była zupełnie pusta. „Pałkarza“ ani śladu.

Dość szybko przesadziłem żelazne sztachety ogrodzenia parkowego i skierowałem się w stronę naszego domu. Z okien mego mieszkania bił świetlisty snop światła od iszającej się choinki...

Na podwórzu panowała cisza...

Z okien gospodarza domu dolatywał donośny śpiew kolegów: „Bóg się rodzi, moc truchleje“.

Z brownieciem, gotowym do strzału, wchodziłem do sieni domu. Obawy moje były płonne, bo tego wieczoru aż dwóch szpicli stróżowało gorliwie przed domem. Nadmienię muszę, że sąsiadem moim vis a vis był agent niemieckiej policji kryminalnej, Gugacz. Zapukałem dyskretnie do drzwi mego mieszkania.

— Kto tam? — usłyszałem głos żony.

— Ja.

— Co za ja?

DIALOG ten, ze względu na sąsiedztwo z przeciwka, mógł się skończyć smutnie, bo ciekawscy sąsiedzi mogli w każdej chwili uchylić drzwi swego mieszkania, a wtedy trzeba byłoby natychmiastowo rejterować.

— Olek — odrzekłem głośniejsz z niecierpliwością.

Nastąpiło nerwowe, pospieszne otwieranie drzwi. Po trzytygodniowej rozłące radościom nie było końca. Dwaj synkowie obstąpili mnie radośnie, a trzyletni Feluś pytał zdziwiony:

— Tatusia plusaki nie zabili?

Wigilję i święta Bożego Narodzenia, z zachowaniem wszelkich ostrożności, przebyłem u siebie w domu.

28 grudnia, o godz. 10 wieczorem przeszwarowałem się tą samą drogą, którą przybyłem z powrotem do mojej kryjówki na Widzewie. A Niemcy, stosownie do otrzymanego „Befehlu“, wyczekiwali na mnie napróżno przed domem.



Pralnia paszportów i konspiracyjne wiadro.

Za czasów panowania najazdu na ziemiach polskich pesowiec był zawsze człowiekiem, stojącym poza nawiasem ówczesnego prawa.

Nieraz w ciągu jednego miesiąca zmienialiśmy kilka paszportów, tak, że trudno się było nieraz przyzwyczaić do swego chwilowego nazwiska.

W okupacji austriackiej od r. 1914 do 1918 specjalistką od przerabiania paszportów była tow. „Marusia“, z pochodzenia Rosjanka (mówiąca zawsze kiepsko po polsku), jednak w czasie kilkoletniej działalności w P. P. S. w charakterze „technikierki“, tak się zżyła z partją, że spełniała najbardziej niebezpieczne funkcje. Przewoziła broń, odezwy P. P. S. do wojsk austro-węgierskich, stacjonujących w general-gubernatorstwie lubelskim. Na skutek rozpowszechniania się tych odezwy i akcji chełmskiej oddawano pod sąd połowy schwytych z odezwanami. Pomimo niebezpieczeństw tow. Marusia wolała z Lublina do Piotrkowa pudami podobne odezwy.

Pamiętam, że w mieszkaniu tow. Marusi w Lublinie przy ulicy Krótkiej pranie paszportów odbywało się w nadzwyczaj prosty sposób. Do paszportów rosyjskich przykładano mokrą bibułę, która po kilku godzinach wchłaniała gruntownie atrament, pozostawiając czystą kartę, którą następnie wypełniano dowolnie.

Na zasadzie paszportu rosyjskiego otrzymywano austriacką kartę tożsamości, stając się wtedy zupełnie legalnym obywatelem.

Nieraz w mieszkaniu tow. Marusi łóżko, krzesła, otomana i t. p. pokryte były paszportami, będącymi w praniu. Bardzo często niektórzy towarzysze odnosili się z przekąsem do tow. Marusi, uważając ją za Żydówkę-litwaczkę, lecz to jej nie zrażało.

Najniebezpieczniejszym przeciwnikiem naszym w Lublinie był nadkomisarz policji Styczeń, urzędnik nadzwyczaj zdolny, policjant rutynowany, przebiegły i sprytny.

Z praktykami konspiracyjnymi królewaków zapoznał się w Krakowie, gdzie niejednokrotnie na skutek energicznego wstawiennictwa tow. Daszyńskiego uwalniał królewaków z więzień austriackich, lub umarzał wytaczane im sprawy na tle politycznym. Po wkroczeniu Austriaków do Królestwa stał się wkrótce osobą zaufania general-gubernatorów lubelskich.

Pilny wykonawca wszelkich szczególnych poruczeń, umiał dyskretnie załatwiać najbardziej koronkowe roboty. Na niebezpieczniejsze posterunki wysuwał zwykle pionków (np. zabitego Terleckiego), którzy, stykając się bezpośrednio z ludnością, narażali się na krwawy odwet lub zliczowanie. Z partją zadzierać nie chciał. W rozmowie zwykle oświadczał, że jest postępowcem, ale rozkazy przełożonej władzy wypełniać musi.

Bardzo często przebierał się po cywilnemu i ucharakteryzowany do niepoznania, przyglądał się długo i badawczo na zebraniach masowych przywódcom partji, utrwalając podobizny mówców na kliszy za pomocą kieszonkowego aparatu fotograficznego.

W grudniu 1917 r., uciekając przed więzieniem pruskim w Łodzi, przybyłem jako okręgowiec partyjny do Lublina.

Pracowałem zawodowo jako dziennikarz w radykalno-społecznym „Dzienniku Lubelskim“, pisując pod pseudonimem

Jana Mrocza. W Radzie Związków zawodowych, jako przedstawiciel stolarzy, wchodziłem w skład zarządu związków.

Oprócz tego w jednej z drukarni lubelskich, mieszczącej się w piwnicy gmachu, którego górną część zajmowały austrajackie władze wojskowe, drukowaliśmy tajny organ P. P. S. „Nasze Hasła”.

Raz w drukarni „Dziennika Lubelskiego” drukowaliśmy pilne odezwy P. P. S., gdy wtem drzwi się otworzyły i wśród nadkomisarz Styczeń. Spojrzał na drukujące się odezwy i udając, że ich nie widzi, rozpoczął z tow. Szydłowskim (drukaczem) rozmowę o sprawach ogólnych.

Po akcji chełmskiej p. Styczeń zwrócił na mnie dość baczna uwagę, przychodził na masówki i przysłuchiwał się przemówieniom, notował niektóre ustępy. Raz w bramie przy ul. Grodzkiej natknąłem się na p. Styczenia, który mnie zatrzymał i zażądał okazania legitymacji. Zapomniałem wtedy rzeczywistości, jakie jest moje „lewe” nazwisko, lecz nadrabiając miną, oświadczyłem (spoglądając ukradkiem na paszport), że jestem lublinianinem z dziada pradiada.

P. nadkomisarz zapisał numer paszportu i nazwisko Jan Adamski, wyrażając życzenie, bym na przyszłość, gdy przemawiać będę na zebraniach, nie zakładał niebieskich okularów, bo i tak mnie pozna. Po tym fakecie, strapiwszy, udałem się do tow. Marusi i dostałem drugi paszport, wystawiony na nazwisko Jana Srebrzyńskiego. Po miesiącu zostałem przez austrajackich agentów policji polowej aresztowany. Przyprawdzono mnie na przedwstępne badanie do nadkomisarza Styczenia, który rozpoczął indagację:

— A to pan Mroczek - Adamski? — zapytał z przekąsem.

— Nie jestem żadnym Adamskim, ale Srebrzyńskim — odrzekłem.

Pan Styczeń zachnął się oświadczając z oburzeniem, że zatrzymał mnie przecież przy ulicy Grodzkiej i że wtedy paszport miałem na nazwisko Adamskiego. Oświadczyłem mu że

spokojem, że go po raz pierwszy widzę. Pan podkomisarz zaczął szybko chodzić po pokoju i tłumaczyć mi, że zna wszelkie sztuczki konspiracyjne i że jedynym wyjściem dla mnie z trudnego położenia jest przyznanie się do winy.

— Wiem o tem — twierdził — że pan ma „lewe” nazwisko, ale zależy mi na ustaleniu prawdy, a wtedy kary wielkiej pan nie dostaniesz.

— Gdzie pan mieszka? — zapytał.

— Z powodu głodu mieszkaniowego nie mam stałego zamieszkania.

— Od trzech miesięcy widuję pana w Lublinie, i niema pan stałego mieszkania?

— Niestety, z powodu zarekwirowania wszelkich wolnych mieszkań przez urzędników austrajackich, wynajęcie mieszkania jest niemożliwe.

— U kogo pan sypiał?

— Na zapytanie nie odpowiem. Korzystałem z gościnności znajomych nie po to, ażeby sprawić im przykrość i narażać za niemeldowanie mnie na kary — odrzekłem.

Badanie przerwano i odstawiono mnie do wzięcia na zamek.

Mieszkanie moje na trzeciaku przy ul. Namieśnikowskiej pod nr. 37 zawalone było wydawnictwami nielegalnymi, więc jedyną moją myślą było, ażeby, zyskawszy na czasie, dać znać towarzyszom na wolności o mojem aresztowaniu, celem umożliwienia oczyszczenia mieszkania.

Tymczasem szpicle niecierpliwił się coraz bardziej, żądano odemnie w więzieniu kategorycznie podania miejsca zamieszkania, a w razie dalszego oporu grożono mi więziennym postem lub karceresem.

Po kilku dniach jednak udało mi się za pośrednictwem pań z więziennego „Czerwonego Krzyża”, t. j. ob. Kuniokiej, wysłać list do towarzyszy z prośbą o jaknajszybsze usunięcie papierów nielegalnych z mieszkania.

Tow. tow. Sieradzki i Korgol wytrychami otworzyli drzwi i zabrali prawie wszystkie papiery, jednak rękopisy do „Naszycy Hasel“, korekta odezwy, napisanej przez tow. Resa, planik sytuacyjny powiatu lubartowskiego z wyszczególnieniem miejscowości, w których działało Pogotowie Bojowe, pozostały niedostrzeżone w zagłębieniu pod wiadrem. Po kilku dniach policja austriacka, która od dłuższego czasu obserwowała „podeirzany“ dom przy ul. Namestnikowskiej pod nr. 37, zwróciła się do stróżki z zapytaniem, gdzie mieszkam. Zakomunikowano jej dokładny mój rysopis. Stróżka, nie spodziewając się niczego złego, zaprowadziła ich do mego mieszkania. Otworzono po raz wtóry wytrychami drzwi, lecz nic nie znaleziono, a ważne dokumenty spoczywały sobie dalej jaknajspokojniej pod wiadrem.

Po dwóch tygodniach, na wyraźne moje żądanie, przesłane za pomocą „gryptanki“ więziennej, tow. tow. Sieradzki i Korgol otworzyli drzwi wytrychami po raz trzeci i zabrali dopiero dokumenty, znajdujące się pod wyżłobionym dnem konspiracyjnego wiadra.

Po otrzymaniu wiadomości, że dokumenty dostały się we właściwe ręce z całą pewnością siebie odpierałem zarzuty, stawiane mi podczas badania przez sędziego sądu wojennego.

Od austriackiego sądu doraźnego ocalało mnie wtedy konspiracyjne wiadro.

Nieraz życie ludzkie zależne jest od przypadku, który sprzyjał zawsze polskim rewolucjonistom.



Dzień 1-szy Maja r. 1917 podczas okupacji niemieckiej w Łodzi.

„Precz z najazdem pruskim!“ Precz z niewolą kapitalizmu! — oto hasła, pod którymi proletariąt Łódzki obchodził święto majowe w 1917 roku.

Wojna przerzuciła szeregi robotników w Łodzi. Ze stotyśięczonej armii proletariackiej zostało dwadzieścia tysięcy robotników, zatrudnionych w kooperatywach, drobnym rzemiośle i zaledwie sześciu fabrykach Łódzkich.

Jednych do wyjazdu na ciężkie roboty w Niemczech zmusił głód, innych przymus i pięść pruska.

Chwymano robotników na ulicach, w mieszkaniach, polowano na ludzi, jak na dzikie zwierzęta po to, ażeby po kilku miesiącach wysłać z powrotem do Łodzi gromadę okaleczonych i zeszcęconych strasznie niedobitków.

Robotnik Łódzki musiał bezsilny spoglądać, jak systematycznie i celowo Niemcy niszczyli warsztaty jego pracy, jak dla kawałka miedzi rujnowano maszyny, wartości setek tysięcy marek.

Rabowano i wywożono zapasy bawełny, manufakturę i wszystko to, co posiadało jakąkolwiek wartość.

„Palkarze“ i policja, rekrutująca się przeważnie z Niemców Łódzkich, wyrafinowanymi szykanami ułatwiała okupantom straszliwe prześladowanie polskiego proletariatu. Niemiecka policja polowa węszyła wszędzie, aresztując o byle co setki robotników, wrogo usposobionych do Niemców (deutschfeindlich).

W takich warunkach budowa organizacji partyjnej szła nadzwyczaj opornie. Apatja, zniechęcenie było powszechnem zjawiskiem. Gdziekolwiek wśród czołowych przedstawicieli proletariatu tliły się tylko zarzewia buntu.

W przeddzień święta majowego na tajnej drukarni partyjnej (bostonce) wydrukowaliśmy odezwy majowe. Zdecydowaliśmy się wystąpić w manifestacji ulicznej ze sztandarami, ażeby tym sposobem podnieść ducha i zachęcić masę do walki o swe prawa. W wigilję święta majowego zwróciliśmy się do bylej „lewicy”, proponując wspólne wystąpienie, lecz odpowiedziano nam, że z tymi, którzy niepodległością zbrudzili czystą i niepokalaną szatę klasową, kroczyć nawet w dniu 1 maja nie mogą. Wobec tego postanowiliśmy wystąpić samodzielnie.

Na posiedzeniu egzekutywy opracowaliśmy plan wystąpienia i wybraliśmy kierownictwo pochodu.

Manifestacja ze śpiewem „Warszawianki” wyruszyła o g. 12-iej w południe z parku „Źródliko”.

Tow. Lubon niósł sztandar okręgowy. Na przedzie szło kilkunastu towarzyszy, uzbrojonych w mocne kije. Pochód przeszedł ulicę Główną i przy skrócie w ulicę Sienkiewicza liczył już około tysiąca osób. Było to pierwsze wystąpienie robotnicze pod okupacją niemiecką w Łodzi. Wszystkich ożywiła stara idea pepesowa walki bezwzględnej z najeźdźcami. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę, że ofiar w dniu tym nie unikniemy. Przy ul. Sienkiewicza samochód z oficerami niemieckimi przejechał pędem przez sam środek tłumu, który się rozpołowił, lecz po chwili ścisnęły się z powrotem szeregi i skierowaliśmy się na ulicę Piotrkowską.

Tymczasem z ulicy Ewangelickiej napadła na nas zmiennacka gromada policjantów-pałkarzy z komendantem policji von Linkem na czele, który bryczką wjechał w sam środek manifestacji, zachęcając stupajów do napaści okrzykiem: „Vorwärts zum Donner Wetter!”. W odwodzie z karabinami, gotowymi do strzału, oczekiwali rezultatu walki żołnierze-rowerzyści.

Pomimo ataku Linkego i jego bandy przedni szereg towarzyszy odparł kijami gracko napastników. Sztandary zwinęto szczęśliwie wobec rozwścieczonych Niemców. Kilku pałkarzy, poczęstowanych kijami, z rozbitymi nosami, chyłkiem wycofywało się z placu boju. Szczególniej towarzysze Purtale grzmocili szwabów siarczyście. Moja laska w bójce z pałkarzem roztrzaskała się o niemiecki łeb. Żandarm niemieccy, widząc, że przednia straż wysłanych „Lodzermenschów” refteruje, a Linke znajduje się w ciężkich opalach, przypuściła nowy atak, bijąc manifestantów kołbami. Przednie szeregi pod naporem przewagi zachwiały się i poczęły cofać, wobec czego daliśmy hasło do odwrotu. Aresztowano wtedy towarzyszy Łętowskiego i Denysa, których jednak odbiliśmy szpiclom.

Za uciekającymi popędzili na rowerach żołnierze, pałkarze i żandarmi. Towarzysze Purtale (dwaj Kimlicze) stracili z rowerów tych Prusaków, którzy się zbyt daleko puścili za uciekającymi.

„O Herr Gott!”, „Verfluchter!” — słychać było, kiedy trzech z rzędu Niemców pałkarzy zapomniało o rowerze i z zakrwawionymi łbami umykało w stronę uzbrojonych „Raubritterów”.

Po manifestacji aresztowano dwie towarzyszki. Zastawne i Kaźmierczakównę, które wyrokiem wojennego sądu niemieckiego za udział w manifestacji skazano na pół roku więzienia.

O godz. 3 po poł. przy ul. Piotrkowskiej esdecy, lewicowcy i bundowcy urządzili wspólny pochód, lecz dość nietortunnie, bo wszystkie sztandary Niemcy im w pierwszym natarciu skonfiskowali. Obchód majowy, manifestacja i zwycięskie starcia z Niemcami napełniło nas otuchą i nadzieją, że walka wytrwała musi się ostatecznie skończyć pogromem zaborczego krzyżactwa i zwycięstwem idei, dla której ponieśliśmy i gotowi jesteśmy każdej chwili ponieść wszelkie ofiary.

Na przełomie.

Twardym krokiem maszerowali po ulicach Lublina dnia 11 listopada 1918 roku „Wermachtowcy“ (wojsko polskie, organizowane przy poparciu Niemców). Stosownie do umowy Rady Regencyjnej z austriackimi władzami okupacyjnymi, władzę od nich przejąć mieli przeważnie wysłannicy Koła międzypartyjnego. Ażeby nie pozwolić na zakłócenie przygotowanej sielanki, bataljon „Wermachtu“, wyszkolony i wyekwipowany świetnie, miał w razie zaburzeń przypomnieć mieszkańcom Lublina o obowiązkach wobec trójcy rządzącej. Radom już dnia 1 listopada zrzucił pęta okupacji. General Rozwadowski w imieniu Rady Regencyjnej depeszą zawiadomił, że władzę obejmuje najstarszy rangą wojskowy Polak.

W ten sposób władza ta miała przejść w ręce dotychczasowego generała austriackiego Kwiatkowskiego, czyli że wszystko miało zostać po staremu.

Po naradzie postanowiliśmy rozporządzenie to ignorować. Komendę nad miastem objął komendant miejscowej P. O. W., porucznik Marjański. General Kwiatkowski oddał bez oporu władzę.

Wybuch ten nastąpił jednak nieco zawcześnie, to też bataljon „Wehrmachtu“ w razie spokoju w Lublinie miał przybyć do Radomia, celem zaprowadzenia „ładu i porządku“. Wysłana z Dębłina, przeciw Radomiowi, kompanja, została w nocy z 3 na 4 listopada rozbrojona w Kozienicach przez radomską milicję ludową.

W Lublinie władza austriacka rozlazila się coraz bardziej. General-gubernator Liposzczak rządził tylko pozornie. Dnia 5 listopada pod naciskiem zrewoltowanego tłumy wypuszczono z więzienia lubelskiego (Zamku) więźniów politycznych.

Pod wpływem wieści o klęskach na froncie włoskim dezercja w szeregach austriackich szerzyła się w sposób zagrażający. P. O. W. i Pogotowie bojowe P. P. S. przygotowało się do rozstrzygającej akcji.

Od Czechów i Austrjaków kupowano za bezcen (nieraz za paczkę tytoniu) broń i amunicję.

Pogotowie bojowe P. P. S. w Lublinie rozporządzało w tym czasie 50 granatami i 200 karabinami. Po wsiach w okolicach ćwiczone się i przygotowywano do rozstrzygającej rozprawy.

Żandarmów i gnębieli ludności sprzątno w sposób szybki i sprężysty, nie pozostawiając śladów.

Z polecenia Tymczasowej Komisji Rządzącej na powiat radomski zostałem wysłany do Lublina, ażeby zasięgnąć informacji o sile zbrojnej naszych przeciwników i o zamierzonej ekspedycji karnej.

W Radomiu rozbiliśmy i wypędziliśmy Austrjaków już dnia 1 listopada. Straż Bezpieczeństwa pełniła Milicja Ludowa. Aparat administracyjny, złożony przeważnie z miejscowych sił, funkcjonował bez zarzutu.

W Lublinie dowiedziałem się, że za rozbrojenie przez nas kompanji „Wehrmachtu“ w Kozienicach, wyruszy w dniach najbliższych ekspedycja karna.

Po otrzymaniu tych cennych informacji od oficera, należącego do P. O. W., wysłałem do Radomia kurjera z poleceniem tworzenia jaknajliczniejszych kadrów Milicji Ludowej, wysyłania w okolice stałych patroli i urzędzenia w właściwym miejscu zasadzki na nieproszonych gości.

W Lublinie w lokalu szkolnym dyrektora Żeńskiej Szko-

ły Handlowej tow. Kunickiego przy ul. Namiesnikowskiej nr. 87, o godz. 9 wieczorem dnia 6 listopada zastałem w komplecie przyszyły Rząd Ludowy.

Byli tam tow. tow. Arciszewski, Ziemięcki, Malinowski, ob. ob. Downarowicz, Sieroszewski i Tugutt.

Tow. Wojtek (Malinowski) zakomunikował mi, jak zwykle, na pół żartobliwie i tajemniczo, że nazajutrz ma nastąpić przewrót i proklamowanie Republiki Ludowej.

Jednocześnie ob. Tugutt oświadczył uroczyście, że zostałem mianowany komisarzem ludowym na pow. radomski.

Wyszliśmy razem na ulicę i tutaj w sklepiku ob. Tugutt przyłożył mi pieczętkę na urzędowym akcie nominacyjnym. (Poduszkę tuszową pożyczył ob. Tugutt od właściciela sklepiku).

W hotelu „Victorja“ omawialiśmy również z ob. Tuguttem kandydatury komisarzy na odpowiednie okręgi.

W dniu tym, najbardziej podniecony rozgrywającymi się wypadkami, był ob. Sieroszewski.

Znajomym rzucał się na szyję i całując starych, powtarzał jak oszalonego: „Nareszcie!“ „Nareszcie!“.

W nocy z 6 na 7-go zostały wszystkie ważniejsze objekty w Lublinie i okolicy obsadzone przez P. P. S. i P. O. W. Zdobyto arsenał i 30 karabinów maszynowych.

Dnia 7-go listopada o godz. 8-ej rano kompanjami, w porządku bojowym, wmaszarowała do Lublina P. O. W., składająca się przeważnie z członków Stronnictwa Ludowego.

Każdą pół-kompanję prowadzili byli oficerowie legionów w hełmach szturmowych.

Zdobyte samochody z chorągiewkami o barwach narodowych, z członkami rządu, mężami zaufania, sztabowcami, sunęły przez ulice miasta.

Oficerów z „Wehrmachtu“ otoczono i wzięto w hotelu „Victorja“ do niewoli.

Przerażeni Austriacy składali broń bez oporu. Bataljon „Wehrmachtu“ okopał się w koszarach na przedmieściu „Osada“ i oświadczył, że bronić się będzie.

Przedsięwzięto środki zaradcze, wzgórze otoczono zdobytymi karabinami maszynowymi.

Z ob. Konradem wyjechaliśmy samochodem patrolować okolicę Rur Jezuckich (przedmieście Lublina), gdzie „Wehrmachowcy“ okopali się najsilniej.

Ażby uniknąć rozlewu krwi i wyczerpać wszelkie środki pokojowe, wysłaliśmy do żołnierzy dyrektora szkoły tow. Kunickiego i prezydenta miasta Lublina (endeka), którego do tej czynności ściągnięto wczesnym rankiem z łózka.

Po 15 minutowych pertraktacjach, w których żołnierzom przedstawiono bezsilność ich sytuacji, bataljon poddał się bez zastrzeżeń.

O godz. 11-ej rano na placu przed Katedrą miała się odbyć przysięga na wierność Republice Ludowej.

„Wehrmacht“, przeobrazowany w armję republikańską, P. O. W. i żołnierzy Polaków z armji austriackiej, mustrowano zawzięcie.

O godz. 9-ej tego dnia wpakowano Austriaków na pociąg i odstawiono do granicy. Pociągi, objęte w tym dniu przez naszych kolejarzy, kursowały bez przerwy.

O godz. 11-ej rozległy się sygnały wojskowe. Lud robotniczy z sztandarami P. P. S., chłopci pod swojemi chorągiewkami śpieszyli na uroczystość.

Plac zaległy tłumy. Wojsko ustawiło się w czworobok. Kapelan wojskowy wypowiedział głośno słowa przysięgi, za nim powtarzali żołnierze.

„Przysięgam Bogu, że Ojczyźnie i Polskiej Republice Ludowej służyć będę wiernie, z oddaniem wszystkich sił swoich. Ślubuję bezwzględne posłuszeństwo swoim przełożonym wojskowym, mianowanym przez Rząd Ludowy. Ślubuję bronić

Ojczyzny swojej aż do ostatnich sił swoich przed najazdem wroga, a lud Polski przed zamachami tych, którzyby prawa jego ograniczać chcieli“.

Muzyka zagrała Mazurka Dąbrowskiego, wojsko salutowało, tłum odsłonił głowy, wielu miało łzy w oczach. „Chwila była osobliwa“.

Wiara w zwycięstwo ludu jaśniała we wszystkich oczach.

Po złożeniu przysięgi odbyła się defilada wojsk przed generałem Rydzem-Śmigłym, który w cywilnym ubraniu, stojąc na stopniach Unji Lubelskiej, przyglądał się swoim zuchom. Szeregi „Wehrmachtu“ wzbudzały karnością swą podziw. Placce i ulice zalegały uzbrojone tłumy, gotowe bronić do upadłego praw ludu.

Dowodem wysokiego stopnia kultury naszego ludu był fakt, że nie było w tym czasie wypadku grabieży lub gwałtu.

Z balkonu hotelu „Victorja“ przemawiałem do zgromadzonych tłumów, wyjaśniając im cel powstania Rządu Ludowego. Okrzyki rozlegały się bezustannie, wywoływano członków Rządu Ludowego ob. ob. Sieroszewskiego, Downarowicza, tow. tow. Arciszewskiego i Malinowskiego.

W powszechnym podniesieniu odczuwano powiew nowych czasów i zmierzch dawnych bogów.



Dzień zapłaty.

„Co złe to w gruzy się rozleci“. Rozlecieć się więc musiała Austria, zawdzięczająca swoją potęgę intrygom Metternicha, polityce zaborczej, oszustwom dyplomatycznym i zasadzie „dziej i panuj“, która stała się w ciągu pół wieku podwalną jej bytu.

Dla utrzymania hegemonji niemieckiej nad większością słowiańską każdy rząd austriacki musiał lawirować, obiecywać lub podszezuwać stałe jednych przeciw drugim, w tym celu tylko, ażeby dynastia Habsburgów miała możność odgrywania roli „anioła pokoju“.

Pomimo głosów ostrzegawczych kamaryla dworska i wojskowa w żarłoczności swojej popychała Austrię do coraz to nowych awantur i zaborów.

Tymczasem w kotle bałkańskim gotowało się coraz silniej... Iredenta serbska pod wpływem cara i przechodziła od słów do czynów... Huk pękającej pod arcyksięciem Ferdynandem bomby w Serajewie był dla Austrii zwiastunem początku jej upadku.

Odtąd los Austrii potoczył się po pechylej coraz szybciej i, gdyby nie pomoc wydatna Niemiec, krach ten nastąpiłby o wiele wcześniej.

Na długo przed wojną narody, rwące się do samodzielnego bytu i zupełnego oderwania od Austrii, były niejednokrotnie hamowane w walce przez swoich polityków.

Przewrotność i korupcja święciły triumfy.

Rząd austriacki, wyniszczając kraj podatkami, otwierał szczerze skarbiec państwa, przeznaczając miljonowe gadzino-

we sumy dla polityków, stronnictw politycznych, klik i spekulantów, uzależniając ich od swojej polityki. Nieraz w Wiedniu dokonywano ohydnych targów nad duszą i sumieniem narodów. Koncesje rządowe dla rodzin polityków lub ich stronnictw były rzeczą zwykłą i powszechną.

Stan taki zabagniał życie polityczne i był wylegarnią karierowiczów, panów radców i nadradców czarno - żółtych, których dwór mianował tysiącami.

Huknęły gromy wojenne... Zadrżała Austria..

Początkowo obiecywano (tak jak Moskałe w Królestwie) Polakom wiele, lecz historia legionów była ciąglem zmaganiem się czynu polskiego z obłudą i przewrotnością austriacką. Po upadku caratu Austria dokonała czwartego rozbioru Polski, sprzedając Ukraińcom Chełmszczyznę...

Odtąd nastąpił stanowczy zwrot w poglądach nawet zagorzałych austrofilów, a społeczeństwo polskie zajęło jednolite stanowisko wobec państw centralnych.

Okupacja austriacka w Królestwie, aczkolwiek inna, aniżeli niemiecka, była jednak rządem samowoli policyjno - wojskowej. Naśladowanie metod pruskich, łapownictwo i tępą biurokracja — oto charakterystyczne cechy tych rządów.

W Radomiu panem życia i śmierci był generał Kwiatkowski, zniemczony Polak, wysoki, chudy, długonosy, który po polsku nauczył się dopiero podczas wojny. W komendzie radomskiej zorganizował biuro szpiegowskie, liczące 80 osób, oprócz tego we wszystkich warstwach społeczeństwa miał płatnych lub „honorowych“ donosicieli.

Szczególnie prześladowano P. P. S. Zamknięto Radę Związków zawodowych. Aresztowano kolporterkę pism partyjnych i za karę zamknięto jej księgarnię. Pochód 1 maja rozpędzono żandarmami. Na zasadzie denuncjacji aresztowana i wysyłano do obozu jeńców, słowem p. Kwiatkowski zachowywał się tak, jak satrapa carski.

Po klęskach Niemców na froncie francuskim, „dziadom“ na froncie włoskim powodziło się coraz gorzej.

Bojówka P. P. S. zmuszona była do ofensywy wobec powstrzymujących się gwałtów żandarmów austriackich. Szczególniej w ciemieniu ludności i łapownictwie wyróżniali się Czesi na służbie austriackiej.

Klęski na frontach zmusiły do częściowej kapiitulacji Austriaków, którzy zdecydowali się stopniowo przekazywać władzę na terenie okupacyjnym wysłannikom Rady Regencyjnej. Postanowiliśmy proces rozpadania się władzy okupacyjnej przyspieszyć. W nocy dnia 29 października 1918 r. zebraliśmy się u adwokata, ażeby zastanowić się nad dalszymi krokami. Obecni na zebraniu byli przedstawiciele miejscowych stronnictw politycznych.

Austriacy, czując bliski koniec swego panowania, wywozili rabunkowo z kraju, co się dało; towary i ziemniaki.

Należało działać szybko i sprawnie.

Garnizon austriacki w Radomiu, złożony w większości z Polaków, pod wpływem kapelana wojskowego, reakcjonisty, księdza Sciskaly, usposobiony był do nas wrogo. Postanowiliśmy pomimo to działać. Po porozumieniu się z P. O. W. o godz. 1-ej w nocy dnia 1 listopada 1918 r. w liczbie 150 osób powiazków i pepesowców, z których większość była nieuzbrojonych, rozsypani w tyralierkę, ruszyliśmy na koszary. Prowadził nas dawny legionista kapitan Marjański. Zaskoczono i rozbrojono załogę bez wystrzału.

Rankiem, komisja, złożona z przedstawicieli miejscowego społeczeństwa, wraz z piszącym te słowa, udała się do komendy. Generał Kwiatkowski wstał jak zwykle, nie spodziewając się, że w nocy pułk jego rozbrojono, szpiclów aresztowano, a biuro szpiegowskie zarekwirowano i przekształcono na klub P. P. S. W imieniu komisji przemówił tow. dr. Keller-Krauz, żądając od Kwiatkowskiego oddania władzy społeczeństwu polskiemu.

— Co?... Ja oddam władzę Radzie Regencyjnej?—zapytał.

— To w takim razie weźmiemy ją sami — odpowiedziałem.

Zatrząśł się oburzony, zerwał się z siedzenia, czerwony jak burak i wybiegł szybko do sąsiedniego pokoju... Usłyszałem, że telefonuje do koszar, opanowanych już przez naszych chłopców. Żołnierze austriacy - Polacy złożyli przedtem przysięgę na wierność Polskiej Republice Ludowej.

— Herr Oberst sofort eine Kompagnie mit aufgefanzten Bajonetten. Aufhetzer befinden sich in meinem Kabinet. verhaften, schnell wie möglich (Panie Pułkowniku, natychmiast przysłać kompanję wojska z bagnietami na karabinach. Burzycieli, znajdujących się w moim gabinecie aresztować szybko).

— Powieś się austriacki durniu! — odrzekł mu telefonicznie porucznik M., pełniący wartę w koszarach.

Po takiej odpowiedzi Kwiatkowski wszedł do pokoju, zmieniony do niepoznania, pokorny, zrezygnowany na wszystko.

— Jesteś Pan, panie jenerale, pod opieką polskich rewolucjonistów, którychś tak zaciekle podczas swoich rządów w Radomiu prześladował. W ciągu 24-ch godzin opuścisz Pań wraz z rodziną Polskę. Bezpieczeństwo pańskie gwarantujemy, zakomunikowałem krótko.

— Czy mam oddać szpadę? — zapytał zalekniony.

— Zatrzymaj ją Pan sobie, nie straszna jest ona dla nas w chwili, kiedy posiadamy karabiny maszynowe, wyrzekł z naciskiem kapitan Marjański.

— Za zbrodnie rozbioru Ojczyzny, dokonanego przez Marię Teresę, spotyka obecnie Austrię los Polski. Kradzione nie łuczcy — oświadczył uroczyście dr. Keller - Krauz.

Z ulicy dolatywał potężny śpiew tysięcy głosów.

„Oto dziś dzień krwi i chwały, oby dniem wskrzeszenia był...” — powtarzały masy z mocą zwrotki pieśni nieśmiertelnej.

Tłum zbliżał się do gmachu komendy... W słońcu łopotały czerwone sztandary... Żołnierze z Galicji, zmieszani wraz z tłu-

mem, z kokardkami narodowymi przy czapkach, manifestowali swoje zadowolenie radośnie. Robociarze z karabinami na ramieniu pod komendą peowiaków kroczyli na czele w szyku bojowym

Odsłoniłem firanki u okien, ażeby lepiej zobaczyć ten obraz, o którym marzyłem niegdyś...

Generał Kwiatkowski zasłonił twarz rękoma i drżał jak w febrze. Czulem, że dzieje się ze mną coś niezwykłego, mimowoli lzy cisnęły się do ocz, bo chwila ta wynagrodziła mi sto-krotnie cierpienia więziennne, Sybir i tułaczkę na obczyźnie.

Nareszcie... Zwycięstwo!...

Radom, stosownie do swoich świetnych tradycji rewolucyjnych i powstańczych, rozpoczął pierwszą walkę z najeźdźcami. Odwaliliśmy kamień grobowy Ojczyzny...

— Panie generale, dokąd się Pan uda? — zapytałem.

— Do Krakowa, a potem do... Wiednia...—odrzekł ponuro. Z balkonu komendy powiatowej dobiegał donośny głos tow. dr. Keller - Krauza.

Powiewały z tego balkonu sztandary carskie, pruskie i austriackie, jako symbol wrogich państw zaborczych. Obecnie, w imieniu Tymczasowej Komisji Rządzącej, zawieszam nasz znak narodowy Republiki Polskiej.

„Niech buja ponad trony!... Na chwałę ludu polskiego, na pohybel wrogom!...”

„N-i-e-c-h ż-y-j-e!” rozległ się entuzjastyczny okrzyk tysięcy głosów, od których aż szyby zadrżały. Okrzyk ten brzmiał jednocześnie jak Requiem pogrzebowe dla sługusów i urzędników austriackich, pełnych lęku i trwogi, zebranych w sali balowej b. gmachu gubernatorskiego.



W wagonie kolejowym.

W przedziale II klasy siedzi kilku żubrów obszarniczych, czerwonych, butnych, spasionych. Obok kiwa się sennie dwóch eleganckich mieszczuchów, typowych wymoczków miejskich. Trzy panie z ziemianstwa opowiadają dość krzykliwie o wczasach letnich w Zakopanem, przeplatając dialog francuszczyzną.

Pociąg pospieszny, dudniąc, kołysze się dość silnie na nierównych szynach, mknąc w stronę Warszawy.

Większość pasażerów z przymkniętymi oczyma, udaje że śpi. Nuda i bezmyślność maluje się na zblazowanych twarzach...

Jeden z pasażerów czyta gazetę, którą po chwili rzuca ze złością na ziemię, wybuchając całym potokiem dosadnych słów.

— Świat się kończy — wrzeszczy z przejęciem. — Mój chłop folwarczny, cham, rataj, ciemny jak tabaka w rogu, figuruje w prezydjum zjazdu robotników rolnych... Zakładają związek, słyszał kto coś podobnego. Bolszewizmi!... Jak Boga Kocham!... Rząd na to spokojnie patrzy... Zamiast powiesić agitatorów... przywódców wsadzić do więzienia, to bawi się z nimi!... Cacy... cacy... pozwalając publicznie na podważanie zasad własności prywatnej... Tfu! Niesłychane!...

Momentalnie zapanowało wśród pasażerów ożywienie, rozwiązały się języki, uderzając w jeden ton koltuńsko - obszarniczego oburzenia.

— Tak... tak... — odpowiada drugi — to postaw tego

bolszewika Moraczewskiego, który winien wisieć na suchej gałęzi!... On pierwszy w odezwie rządowej rzucił żagiew niezadowolenia wśród służby dworskiej. Chłop jest pokorny i cierpliwy, nigdy by sam tych żądań nie wymyślił. Pod pokrywką socjalistów działa tutaj wyraźnie czarna ręka, żydowsko - niemiecka.

— Ach! Bolszewiki! — zawodzi płacziwie jedna z podtusiących pań. — Gdzie nasze duchowieństwo?... Gdzie policja?... Boże, mój Boże!... podobno wyrotowcy chcą w Polsce zaprowadzić socjalizację kobiet?...

— Niech się Pani uspokoi — przerywa głosem tubalnym sąsiad z vis a vis. — Mamy armję, która po powrocie z frontów zrobi wkrótce gruntowny porządek z tą przeklętą czerwoną hałastrą. Polska znajdzie swego Cavaignaca...

— Oby!... Oby!... — wzdycha sentymentalnie uspokojona pani.

— To samo mamy w mieście — cedzi powoli słowo po słowie lysawy wymoczek w binoklach. — Związki przewrotowe powstają, jak grzyby po deszczu. Robotnik rozpróżniaczył się jak bież dziadowski. Marzy o chimerach... Zamiast czekać na uruchomienie przemysłu, chce zaraz nietylko pracy suto opłaconej, ale nawet konfiskaty prywatnych kapitałów... Oto skutek podważania podstaw własności prywatnej, przez sejmową reformę rolną...

Tylko polityka mocnej ręki może uratować Polskę od zagłady!...

— Proszę pana! — odzywa się z rogu wagonu piskliwy kobiecie głosik. — Moja służąca dawniej pracowała od świtu do nocy za 6 rubli kwartalnie, a teraz żąda 50 mk. miesięcznie. (Głosy oburzenia) przy 12 godzinnym dniu pracy!... Bolszewiczka!... Zawiadomiłam o tem policję, spisano protokół, wypuszczono ją jednak na wolność i to za nieprawne zerwanie kontraktu, za awanturę, jaką ta bezczelna zrobiła...

— Jestem najmocniej przekonany, że generał Dowbór-Muśnicki mógłby zaprowadzić trwały porządek w kraju, ma już wprawę zdobytą na bolszewikach. W Bobrujsku nie ceregielił się wiele, ale każdego podejrzanego o bolszewizm pakował pod ścianę i kulę w łeb — kończy z tryumfem, drugi wymoczek.

— Cham ma respekt tylko przed siłą — dowodzi z przejęciem, czerwony jak burak, szlagon. — Nieraz ja z nim, panie dzieju, delikatnie, a ten, stawia się jak gbur, to ja jego buch w pysk, a on wtedy mi się do kolan kłania i rękę całuje... Już ja ich znam... Wszystkiemu winien ten przeklęty Thugut... Z niego pasy drzeć i solą przysypywać, za to pohańbienie naszego ziemiaństwa, za zbałamucenie i rozzuchwalenie chłopstwa!..

— Ścisły sojusz z Kołczakiem, Denikinem, gen. Menerheimem — rezonuje wymoczek — uratuje od upadku państwowość polską, odgrodzi od radykalizmu europejskiego kraj nasz, przyczyni się do przyplywu kapitałów zagranicznych, mających w Polsce najpewniejszą lokatę. Rozszerzy rynki zbytu i położy kres temu rakowi, toczącemu obecnie narody, a nazywanemu fałszywie przez chłopomanów demokracją!..

Atmosfera staje się coraz bardziej podnieconą, padają projekty coraz bardziej krwiożercze, sentymentalne panie rozpromienione patrzą jak w obraz w swoich sąsiadów. Wszyscy gestykują gorączkowo, odsądzając od czci i wiary rząd, ludowców, witosowców, radykałów, socjalistów. Strach przed jutrem — wyziera z każdego zdania... Przywileje klasowe, stan posiadania, egoizm i sobkostwo zaściankowe ubierają bluźnierczo na wyścigi, w hasła: Bóg i Ojczyzna!..

Czuję jak mi policzki płoną oburzeniem, wstrzymuję się całą siłą woli, ażeby nie wybuchnąć. Na usta cisną mi się słowa ostre jak miecz, nabrzmiałe bólem i goryczą. O cześć wam panowie! — brzmij mi w uszach. Nic was nie nauczyła przeszłość, ni teraźniejszość. Knut carski, pięść pruska i przewrót-

ność austriacka wychowała was na czcicieli wszelkiego bezprawia. Ślepcy!

— A pan co na to? — zapytuje mnie obcesowo, tuż pod samą Warszawą, jeden z dyskutujących, którego niecierpliwilo moje milczenie.

— Ja stwierdzić muszę — odrzekłem — że w poglądach panów przejawia się w całej jaskrawości światopogląd i taktyka bolszewików. (Szmer zdumienia).

Zwalczać komunistów może tylko ten, który na miejsce gwałtu i przemocy chce wprowadzenia rzeczywistej wolności i demokracji... Przez szerzenie poglądów o konieczności represji, o rządach mocnej ręki, udzielacie sankcji moralnej krwawemu systemowi rządów bolszewickich.

Wy, panowie, jesteście najgorliwszymi rzecznikami bolszewizmu z prawa, posiadającego jednak te same cechy i pierwiastki, t. j. zasadę wprowadzenia siłą i terorem rządów mniejszości nad większością, które stosuje obecnie rząd sowieckiej Rosji!..

Nie macie prawa protestować przeciw rządowi gwałtów gdzieindziej, jeżeli sami u nas na nich opierać się chcecie!..

Bolszewicy was tępią, a wy chcecie tępić tymi samymi środkami socjalistów i ludowców!..

Tak samo jak bolszewizm, opierający się tylko na bagnietach, umrzeć musi śmiercią naturalną, tak samo rozwój Polski usunąć musi od wpływu na państwo wszelkie przeżytki średniowiecza i czcicieli knuta i pięści!

Pociąg dojeżdżał do stacji... Po chwili osłupienia i konsternacji wśród bolszewików z prawa, pojawił się na ustach niektórych złośliwy i pogardliwy uśmiešek, a przy wychodzeniu z wagonu dosłyszałem na pożegnanie wypowiedziane dość głośno: „Doktryner“! „Póglówek“!..

W opałach.

Rząd Moraczewskiego otworzył wrota demokracji robotniczej do Rad miejskich. Na miejsce dotychczasowych władców z wyborów kurjalnych weszli do Magistratów nowi ludzie od młota, biur, kowadła i warsztatów.

Pomimo ciężkich warunków, spowodowanych wojną, jak również złą wolą zwolenników dawnego porządku, rozpoczęliśmy sztyfową pracę: utrwalenia i pogłębienia naszych prac przy pustej kasie, dziesiątkach tysięcy bezrobotnych w mieście i rozlicznych trudnościach, piętrzących się na każdym kroku. Szczególniej nieświadomość mas co do naszych celów i dróg, a nawet niektórych naszych towarzyszy, wprowadziło nas nieraz w tragikomiczne sytuacje.

W pierwszym tygodniu mego urzędowania jako prezydent m. Łodzi otrzymałem od towarzyszy, bliższych lub dalszych znajomych, około 30 ofert, niektóre z nich posiadały wstępy o polocie poetyckim, patetyczne zwroty lub zaklinania na szczytne ideały ludzkości i narodu. W konkluzji kończyły się, jak zwykle, prośbą o posadę...

Pomimo dobrych chęci nie nadażyłem, niesfety, odpowiadać wszystkim zgłaszającym się o pomoc.

Sytuacja pogarszała się z dniem każdym.

Pod drzwiami mego biura wzrastał liczebnie ogonek interesantów, domagających się posad... Każdy z nich powoływał się na referencje znanych mi osób, lub też na rzeczywiste lub

zmyślone cierpienia, poniesione dla sprawy robotniczej... Po czątkowo odpowiadałem dość uprzejmie na różne nieuzasadnione pretensje i wymówki, lecz kiedy po trzech dniach od sami przybywali, przypominać się w tej samej sprawie, wywiesiłem z konieczności na drzwiach Magistratu obwieszczenie, „że posad wolnych niema, a wobec złożonych pięciu tysięcy ofert, nowych nie przyjmuję“.

Dotąd miałem hece o posady w biurze, potem przeniosło się to do prywatnego mego mieszkania.

Kiedy wychodziłem z posiedzeń na pół godzinki na obiad, to na korytarzu, w Magistracie, przed domem, gdzie mieszkam, i w samym mieszkaniu, oczekiwali na mnie kandydaci na posady. Powtarzała się znów stara historia; ażeby nie być nie-taktywnym i nie narazić się, tłumaczyłem cierpliwie, że w tej sprawie tylko dobre chęci nie wystarczają, ale trzeba mieć również odpowiednie kwalifikacje, znajomość biurowości, a przede wszystkim gruntowną znajomość języka polskiego, czego w podaniach nie uwidoczniiono, gdyż roiło się w nich o błędów stylistycznych i ortograficznych.

Robotnikom wyjaśniłem, że liczba pracujących, zatrudniona przy robotach miejskich, jest ściśle określoną etatem i kredytem, udzielonym przez Ministerjum Robót Publicznych. Napróżno. Każdy z uporem powtarzał w kółko: „Przecież mnie jednego umieścić możecie“.

W następstwie nie tylko, że pracować, ale spać spokojnie nie mogłem.

W nocy, rankiem, w południe lub wieczorem, połowano na mnie, chwytano za poly palfa na zebraniach, w tramwajach, w klubie naszym i t. p.

Na ulicy dźwięczało mi coraz silniej w uszach cienko, baaem, pojedynczo, lub całą gamą głosów:

Posad!... Posady!.. Posadami!...

Spotykanych znajomych witałem słowem „Posada“... roz-

poczynając z góry na ten temat przygotowaną rozmowę i odpowiedź.

Miejscowa prasa endecka podjudzała złośliwie liczne rzesze bezrobotnych, nawołując prawie codziennie:

— „Idźcie do Magistratu do Rzewskiego, on powinien i musi wam dać posady i pracę”...

Zamiast dawnych ogonków przybywały przed Magistrat tłumy, które natarczywie powołując się na to, „co stało w gazecie”, domagały się... „posad i pracy”.

Aż nareszcie stał się cud...

Rząd wydał rozporządzenie, mocą którego fabryka, która w ciągu miesiąca nie została uruchomiona, podlegała sekwestrowi. Fabryki były czynne dzień i noc. Przy pomocy związków zawodowych panowała wzorowa karność, bo rząd zagwarantował minimum płacy, pracy i kontrolę zysków. Wykonywanie obstarunków dla armji zatrudniało większość fabryk. Zatrudniono około stu tysięcy bezrobotnych. Ceny na chleb z powodu ścisłego przestrzegania sekwestru zboża i ziemiopłodów spadły do minimum.

Przywóz zboża z zagranicy wpływał na tanieść chleba w zupełności, pokrywając zapotrzebowanie ludności. Ciężkie kary na paskarzy i łapowników przyczyniły się do szalonego spadku cen na towary, a ruch pociągów i dostawy tylko do miast, gmin i instytucji współdzielczych następowały punktualnie, jak w zegarku. Całkowita konfiskata majątków paskarskich i ½ wszystkich majątków w Polsce doprowadziła do równowagi budżet państwowy, a z pozostałej reszty udzielono miastom olbrzymich pożyczek na kanalizację, wodociągi, budowę dróg, domów robotniczych, szpitali, zakładanie kooperatyw rolnych i podniesienie wydajności ziemi przez dostarczenie właścicielom narzędzi rolniczych i nasion.

Odpowiedzialność funkcjonariuszy państwowych prze-

specjalnie powołanymi z łona ludności sądami doraźnymi przyczyniła się do sanacji zabagnionych stosunków.

Ścisłe przestrzeganie zasady samookreślenia narodów położyło podwaliny pokoju, a wdzięczne, wyzwolone przez oręż polski ludy, sąsiadujące z nami proklamowały wieczną federację z Polską.

Obszarnicy, nie posiadając majątków, zostali funkcjonariuszami Ministerjum Rolnictwa i Dóbr Państwowych, fabrykanci dzielonymi administratorami upaństwowionych fabryk. Od kilku miesięcy nikt nie zgłaszał się do Magistratu, ani też do mnie osobiście o pracę.

Magistrat był zmuszony ogłosić wezwanie we wszystkich pismach do robotników i pracowników biurowych z zaoferowaniem posad na jaknajlepszych warunkach.

Rzeczpospolita ludowa syta i oświecona stała się najszczęśliwszym krajem, wśród skłóconych waśniami społecznymi państw zachodniej Europy...

Myśli moja snuj dalej nie czarownicę baśni... Prawda...
dziś to tylko sen...

Słyszę przy drzwiach biura Magistratu przekomarzenie się woźnego, który wręcza mi plikę ofert o rozpaczliwej treści z prośbą o posady... jednocześnie melduje o przybyciu delegacji bezrobotnych...



M.B.

im.

L.V.

w

Kodzi

Odbito w drukarni „Robot nika”, Warecka 7.

4456

WIMBP Im. J. Piłsudskiego
w Łodzi



230000096099

